

FRYDERYK SZOPEN

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

FRYDERYK SZOPEN

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO
KSIĄŻEK SZKOLNYCH WE LWOWIE

Opracowanie graficzne Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych
Okładkę projektował Wacław Siemiątkowski
Tłoczono w Drukarni Bernarda Połonieckiego we Lwowie 1938 roku



38 222



Są życia, które w porywie ofiary całkowicie oddają się służbie ukochanej idei, walczą o nią pracą krwi, czynem oręża, wysiłkiem wytężonej woli. Prowadzą one narody do zwycięstw i tryumfów, czy chociażby do klęsk od tryumfów sławniejszych. Życia te stają się dla swoich narodów symbolami, a postacie bohaterów przebóstwiają się w osoby prawie mitologiczne. Oddajemy im cześć bohaterską.

Ale obok tych wielkich żywotów, które całe były poświęcone zmaganiom się z losem i przez te zmagania naród cały wydźwigały na szczyty — istnieją inne, bardziej ciche żywoty, a nie mniej może ważne. Są bohaterowie, których walka nie jest tak oczom świata dostępna, a nie mniej trudne ich wysiłki często wydają się w oczach potomnych czymś łatwym i dostępnym.

Są to żywoty uczonych i poetów, artystów, którzy ukryci w czterech ścianach swojej izdebki zdobywają światy całe i potem te zdobycze ofiarowują narodowi, każdemu z nas, który do tego narodu należy,

wreszcie ludzkości całej, rozsławiając granice swej ojczyzny.

Takimi żywotami, których ślad do dziś dnia jeszcze świeci jak ślad po przelatującym meteorze, są życia naszych wielkich romantyków XIX stulecia: Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Norwida, Szopena.

Ich bohaterski wysiłek polega nie na walce z wrogiem zewnętrznym, ale na przezwyciężaniu lenistwa duchowego i zdobywaniu opornych i nie łatwych do zrozumienia połaci kultury. Ich zwycięstwo polega na oparciu się tysiącznym pokusom, które ich wabiły ku łatwemu życiu, kosztem pochlebstwa tłumom i kosztem poświęcenia na ołtarzu chwilowej sławy ich wiecznych wysiłków dla zdobycia piękna.

Słowacki zamykał się jak w średniowiecznej wieży w swoim małym mieszkanku paryskim — i zamiast lekkiej strawy dostępnej dla współczesnych, co mogłoby mu przynieść niezbędne dla życia zarobki, — wolał dawać przyszłości nieśmiertelne skarby „Króla Ducha", myśląc o wnukach i nie dbając o niedostatek, jaki zaglądał do jego pokoików.

Jeżeli zastanowimy się nad życiem Szopena — to uderzy nas w nim tak samo ta wierność idei artystycznej, od której wielki Polak nie zboczył ani na jotę, ani dla szukania łatwego chleba ani dla szukania taniej sła-

wy. Wiedząc co jest jego terenem, Szopen ograniczył się jedynie do komponowania utworów na sam fortepian. I w tej szczupłej dziedzinie zostawił nam to wszystko, co do dziś dnia podziwiamy i co z każdym dniem większej w naszych oczach nabiera wartości.

Żywot ten jest całkowicie oddany służbie ukochanej idei, którą dla Szopena jest wielka, prawdziwa muzyka. Wszystko inne jest rzeczą drugorzędną, epizodem. Zwycięstwa jego i zdobycze istnieją tylko w państwie sztuki. Ale jakież to zwycięstwa i jakie to zdobycze! W mrokach naszej niewoli, w cieniach, jakich nie rozjaśniało żadne słońce, te dźwięki same przez się świadczyły o istnieniu wielkiego narodu, który swą własną kulturę miał i nie byle jaką, który żył życiem pełnym, choć wykoszlawionym, i który dążył i dążyć będzie do wielkości.

Odczuwali tę wartość muzyki Szopena wszyscy, którzy go naprawdę rozumieli i w tym znaczeniu Robert Schumann nazwał jego dzieła armatami ukrytymi pod kwieciem...

Wierność swojemu pojmowaniu sztuki, wielka świadomość artystyczna stanowi olbrzymią siłę Szopena. Ona pozwoliła mu skupić na pozornie małym odcinku tak wielkie moce duchowe, iż przez nie stał się jednym z najsławniejszych synów swojej ojczyzny, rozgłaszając

jej imię po całym świecie i stając w pierwszym rzędzie największych mężów ludzkości.

Wysiłek żołnierza, który broni swojej ojczyzny, wysiłek uczonego który rozszerza jej granice duchowe, wysiłek artysty który te granice rozsławia — jest godzien jednakowego szacunku.

J. Iwaszkiewicz. Fryderyk Szopen

Życie swoje Szopen rozpoczął w gronie rodziny wyjątkowo zgodnej i kochającej. Toteż przywiązanie, jakie miał do rodziców i rodzeństwa pozostało do końca jego życia tą najsilniejszą nicią, która wiązała go z krajem i ukochaną Warszawą. To ciepło rodzinne, które go w kraju otaczało, ta miłość, ta troskliwość, której doznawał, sprawiły, że najtrwalszą więzią z ojczyzną, a nawet ze światem całym, była jego miłość do rodziny. Przez nią poznał, co to jest prawdziwe szczęście i spokój.

Krótkie życie Szopena dzieli się wyraźnie na dwa prawie równe okresy. Pierwszy okres to szczęśliwy czas spędzony w Polsce, w domu, wśród przyjaciół i życzliwych (1810 — 1830); drugi to okres burz i żalów przebyty na obczyźnie, gdzie twórczość Szopena takim wspaniałym wykwitła kwiatem (1830 — 1849). Podział to niezmiernie wyraźny. Nie tylko życie ale twórczość — zresztą bardzo jednolita — na te dwa okresy się rozpada, i cała jego indywidualność jak gdyby dwa objawia oblicza. Jedno wesołe i pogodne, warszawskiego

ucznia, ukochanego przez wszystkich Frycka; drugie poważne i zatroskane, takie jakie widzimy pochylone nad fortepianem w portrecie Eugeniusza Delacroix, oblicze genialnego „pana Fryderyka". Dwie te osobistości istnieją obok siebie — i na obczyźnie nawet przypomniawszy sobie dawne czasy, smutny pan Fryderyk przeradza się w wesołego malca, bawi się z młodzieżą, naśladuje innych artystów i przebrany bierze udział w przedstawieniach i improwizowanych maskaradach. A już w epoce warszawskiej pośród figlów i zabaw nagle dostrzegamy księżycową zadumę na jego twarzy, myśl o zagadnieniach jego twórczości.

Ojciec Fryderyka Szopena był z pochodzenia Francuzem. Gdy miał lat siedemnaście przyjechał do Polski z Lotaryngii, zrywając wszystkie więzy łączące go z dotychczasową ojczyzną, i nigdy, do końca życia, nawet kiedy jego syn mieszkał w Paryżu, nie nawiązał kontaktu z pozostałą we Francji rodziną. Spolonizował się zupełnie, czego dowodem, że listy do syna po polsku pisywał, i obracając się w różnych polskich domach w charakterze nauczyciela, coraz bardziej się do tego kraju przywiązywał. W domach, gdzie był jak wtedy mówiono „guwernerem", zostawiał najlepsze wrażenie. Pani Kacprowa Skarbkowa poznała go u pani starościny Łączyńskiej, matki pani Walewskiej, i oceniając jego zalety powołała na wychowawcę swoich dzieci.

Skarbkowie wówczas po stracie części swojego majątku przenieśli się do niedużej wsi, jaka im jeszcze w sochaczewskim powiecie została, a która się nazywała Żelazowa Wola. Tam też pan Mikołaj Szopen, w Żelazowej Woli, przystąpił do nauczania dzieci państwa Skarbków. Najwybitniejszym jego uczniem był Fryderyk hrabia Skarbek, pisarz i uczony, który w swoich bardzo znanych pamiętnikach nazywa Mikołaja Szopena nie tylko zacnym i dobrym nauczycielem, ale i serdecznym przyjacielem całej rodziny.

„Skromny" na owe czasy dwór Skarbków w porównaniu z innymi magnackimi domami początków XIX stulecia jeszcze by mógł nas dzisiaj niejednym zadziwić. Zwłaszcza wielka ilość osób, krewnych, przyjaciół i znajomych — która znajdowała w takim domu przytułek, strawę i opiekę, wydaje się nam dzisiaj niezrozumiałą. Pamiętamy, jak niezwykle plastycznie opisuje Żeromski w „Popiołach" magnacki dwór Gintułtów wraz z ich nieprawdopodobną ilością rezydentów i rezydentek, którzy się przy nim tulili i z łaski pańskiego stołu korzystali. Oczywiście dwór Skarbków był o wiele, o wiele skromniejszy, sama siedziba ich była szczupła, ale jednak wystarczała na pomieszczenie kilku starszych czy młodszych osób, które stanowiły jakby dalszą rodzinę, zżytych i wypróbowanych w szczęściu i nieszczęściu domowników. Wśród

tych rezydentów urodą i dystynkcją odbijała od otoczenia młoda panna, z ubogiej, zaprzyjaźnionej czy też nawet spokrewnionej ze Skarbkami rodziny pochodząca, która w Żelazowej Woli pomocna przy gospodarstwie jednocześnie nabierała ogłady, wykształcenia i poloru. Nazywała się Justyna Krzyżanowska.

Pan Mikołaj Szopen zwrócił uwagę na zalety jej serca i umysłu, na jej urodę, poprosił ją o rękę. Dnia 2 czerwca 1806 roku w kościele parafialnym w Brochowie został pobłogosławiony ten związek małżeński.

Zwrot, którego poprzednio użyłem, i którego się zazwyczaj zbyt często używa „o zaletach serca i umysłu" panny Justyny Krzyżanowskiej — nie jest w danym wypadku nieopartym na niczym frazesem. Jeżeli nie przekazano nam szczegółowego portretu literackiego ukochanej „mameczki" Szopena, to dom jaki mężowi i dzieciom stworzyła i wpływ jaki na Fryderyka miała, świadczy o słuszności mojego wyrażenia.

To co Fryderyk z domu rodzinnego wyniósł, zwykło się nazywać kulturą. Nie tylko dotyczy to jego kultury zewnętrznej czy towarzyskiej: uprzejmości, serdeczności, ładnych manier, umiejętności obracania się pośród ludzi, ale także i przeważnie dotyczy cech charakteru o wiele głębszych. Umiłowanie do wszystkiego co piękne i szlachetne, wstręt do tego co nieładne i brudne,

rozwijanie w sobie szlachetnych uczuć, delikatność i wyrozumienie w stosunku do bliźnich — oto jakie cechy charakteru Szopena rozwinęły się w rodzinnym domu. Dodać do tego należy wykształcenie, które Szopen otrzymał wcale nieprzeciętne. Obok wykształcenia muzycznego, co rozumie się samo przez się, posiadał Szopen znajomość języka oraz literatury francuskiej i niemieckiej, znał język włoski i początki angielskiego, oswojony był zupełnie z dziejami ojczystymi, jak również z dziejami polskiej literatury, dużo czytał — a niewymuszony, lekki a wykwintny styl jego listów, świadczy o niepospolitej swobodzie we władaniu piórem.

Z małżeństwa pana Mikołaja Szopena z panną Justyną Krzyżanowską urodziło się czworo dzieci: Ludwika, Fryderyk, Izabela i Emilia. Fryderyk Franciszek Szopen ujrzał światło dzienne w Żelazowej Woli dnia 22 lutego 1810 roku.

Niebawem po urodzeniu Fryderyka (F r y c k a, jak go w rodzinie nazywano) pan Mikołaj wraz z całym domem przeniósł się na stałe do Warszawy. Otrzymał posadę nauczyciela francuskiego języka w owoczesnym Liceum Warszawskim, gdzie nauczał przez długie lata, zanim przeszedł na emeryturę. Jednocześnie państwo Szopenowie otworzyli pensjonat dla uczniów Liceum, gromadząc w ciągu lat sporą ilość wychowanków tej

uczelni u siebie. Pensjonat cieszył się wielkim powodzeniem, gdyż państwo Szopenowie otaczali swych wychowanków staranną opieką, a pensjonariusze znajdowali w zacnym i wykształconym środowisku Szopenów, nie tylko ciepło rodzinnego prawie domu, ale także cenne uzupełnienia wychowania i wykształcenia. Z tych mieszkańców słynnego zakładu rekrutuje się większość najbliższych i najserdeczniejszych przyjaciół Fryderyka, którzy przyjaciółmi aż do śmierci zostali, zawsze bliższymi niż wszyscy później poznani cudzoziemcy. Wśród nich przede wszystkim najmilszy sercu Tytus Wojciechowski, powiernik szopenowskich tajemnic, tutaj też Jaś Białobłocki, Jaś Matuszewski, Julian Fontana, tutaj wreszcie dwaj przyszli szwagrowie Szopena: mąż Ludwiki Kalasanty Jędrzejewicz i mąż Izabeli Antoni Barciński. Szopen kochał tych wszystkich przyjaciół jak braci, dzielił z nimi zabawy i figle i, jak nam to rozmaite legendy i opowieści z tych czasów niosą, potrafił tych niesfornych, bujnych chłopaków ujarzmiać swoją muzyką. Jakkolwiek nieprawdopodobna jest legenda o uśpieniu całej gromady rozbawionych chłopców przy pomocy fortepianowej kołysanki, to zawiera ona dwa fakty niezaprzeczone: to, że Szopen od najmniejszego dzieciństwa oddawał się improwizacji i nieprzeciętnej od razu twórczości muzycznej, i to, że dary te niezwykłe genialnego dziecka wzbudzały powszechny

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA-NARODOWY BIBLIOTEKA

podziw i głęboko zapadły w umysły przyjaciół, którzy mimo młodego wieku wyczuwali w swoim małym koledze prąd genialnego uzdolnienia.

Lata dzieciństwa, lata młodości w tym otoczeniu przemijają niepostrzeżenie, łatwo, prędko, prawie bez chmurki. Jedynym wielkim smutkiem tej epoki jest śmierć najmłodszej siostry Emilii. Uczy się Szopen w liceum bardzo dobrze, czego świadkiem jest dochowana do dnia dzisiejszego pięknie oprawiona książka, otrzymana jako nagroda po pierwszym roku pobytu w uczelni. Na czerwonej okładce wyciśnięty napis: *Moribus et diligentiae Frederici Chopin in examino publico Lycei varsoviensis dii 24 Julii 1824.* Że owe „dobre obyczaje" Szopena — zawsze wzorowe — często naruszane były wybuchem nieszkodliwego ale tryskającego humoru, świadczy inna książka z biblioteki dziecinnej Szopena, która znajduje się po dziś dzień w zbiorach Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Poważna książka „Historia Święta" służąca do nauki w liceum, zaopatrzona została w następujący podpis właściciela: „Fryderyk Chochochochochochopin."!

Jednocześnie z kształceniem się w liceum przebiegało wykształcenie muzyczne. Zdolności zupełnie wyjątkowe objawiał Frycek bardzo — jak powiedzieliśmy — wcześnie. Jako ośmioletni brzdąc taką złożył laurkę swojemu ojcu na imieniny:

„Kochany Papo!

Luboby mi łatwiej było wynurzyć uczucia moje, gdyby je muzycznemi tonami wyrazić można, gdy jednak i najlepszy koncert przywiązania mego ku Tobie, kochany Papo, objąć nie potrafi, użyć muszę prostych wyrazów serca mego, aby Ci najczulszej wdzięczności i przywiązania synowskiego hołd złożyć.

Dnia 6 grudnia 1818. F. Chopin.“

Kompozytorskie uzdolnienia Szopena rzeczywiście przejawiać się zaczęły bardzo wcześnie, gdyż już w roku 1817 czyli licząc lat siedem, wydaje pierwszą kompozycję drukiem. Jest to oczywiście bardzo jeszcze dziecinny polonezik. Ale że mały dzieciak miał już wówczas lokalną warszawską sławę świadczy wzmianka gazetowa o tym młodocianym utworze:

„...kompozytor tego tańca, prawdziwy geniusz muzyczny, nie tylko bowiem z łatwością największą i smakiem nadzwyczajnym wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nad to jest już kompozytorem kilku tańców i wariacyj, nad którymi znawcy muzyki dziwić się nie przestają. Niechże wzmianka niniejsza służy za wskazówkę, że i na naszej ziemi powstają geniusze.“

Opinia „genialnego dziecka“ przyrosła do Szopena, który występował od czasu do czasu na dobroczynnych

lub towarzyskich koncertach lub po salonach wielkich rodów warszawskich. Grał np. u namiestnika Królestwa Polskiego, wielkiego księcia Konstantego i to w obecności Cesarza Aleksandra I. Słynny także jest ów wieczór, który na jednej estradzie połączył improwizującego malca Szopena i deklamującego Zygmunta Krasińskiego, który o dwa lata był od Frycka młodszy. Już w 1820 roku przejeżdżająca przez Warszawę znakomita śpiewaczka owoczesna, sławna Catalani, ofiarowuje Szopenowi złoty zegarek, jako wyraz swojego uznania dla rodzącego się talentu muzycznego.

Toteż dyrektor warszawskiego Konserwatorium muzycznego Józef Elsner, kreśląc w ocenie uczniów swoich wiekopomne wyrazy: *„Fryderyk Chopin, szczególna zdatność, genjusz muzyczny itd....“*, był tylko wyrazicielem opinii publicznej, która od dawna zdecydowała, że Szopen jest genialny.

Postępy Szopena w sztuce muzycznej polegały raczej na zdobywaniu przez niego samego, samodzielnie, tego wszystkiego co wiedzę tę stanowi. Wysiłki i osiągnięcia jego tylko regulowane były przez jego nauczycieli, naprzód w dziedzinie techniki fortepianowej przez Wojciecha Żywnego, potem w dziedzinie kompozycji przez Józefa Elsnera. Pewne braki tego kierownictwa widoczne są w pierwszych dziełach naszego kompozytora. Tak samo Szopen nawet przy końcu życia mówi o wadach

swojej techniki fortepianowej. „Umrę już — pisał do przyjaciela — z niewyrobionym czwartym palcem."

Natomiast nauczyciele Szopena posiadali jedną wielką zaletę i w stosunku do niezwykłej indywidualności ucznia jedną najwłaściwszą metodę: oto nie krępowali go w niczym. Nie narzucano mu nigdy żadnych martwych formuł, żadnej maniery — i od samego początku Szopen mógł wyrażać się jak mu się podobało i zawsze pozostawać sobą. „Zły ten nauczyciel — mawiał zacny Elsner — którego uczeń nie przewyższy!" Toteż Elsner był dobrym nauczycielem: w oczach potomności znany jest nie jako kompozytor oper czy kwartetów, ale przez ucznia, który i jemu i sobie dosyć sławy przysporzył.

Lata młodości Szopena to nie tylko zdobywana wiedza o świecie z książek i podręczników, to także żywe chłonięcie w siebie otaczającej go rzeczywistości, poznawanie stosunków społecznych, i zaznajamianie się z ludźmi. Od najmniejszego dzieciństwa kręci się on po znajomych domach, bywa, gra w salonach, chodzi na koncerty i do teatru — i to nie tylko na parter, ale i za kulisy — koncertuje sam, improwizuje, wreszcie tańczy i bawi się z całego serca. Wtedy już, za czasów młodości nabiera zwyczaju, że ani jednego wieczora w domu nie spędza, a nieraz po dwa, trzy domy w jeden dzień odwiedza. Do jego powodzenia w świecie przy-

czyniało się obok jego uzdolnień artystycznych i pociągającej, dystyngowanej powierzchowności, w znacznej mierze jego wesołe usposobienie i upodobanie w zabawach.

Jego bywanie nie ograniczało się do jeżdżenia w zimowym sezonie od salonu do salonu. Ogromnie dużo Szopen, jak na owe czasy i jak na swe młode lata, podróżował po całym kraju. Widocznie jego rodzice zdawali sobie sprawę z tego, jak wielkie znaczenie dla młodego człowieka posiada poznanie kraju i jego najrozmaitszych okolic, tudzież otarcie się o najrozmaitszych ludzi, skoro nie omijali żadnej okazji przy której Frycek mógł się przejechać po Polsce lub także i za granice naszego kraju wyjrzeć. Frycek odwiedzał przyjaciół i kolegów zamieszkałych w rozmaitych stronach Polski — latem bawił to u Tytusa Wojciechowskiego w lubelszczyźnie, to w Szafarni i Sokołowie w płockiem, to znowuż na Mazowszu w Żelazowej Woli i w Pęcicach lub w poznańskiem, w Antoninach radziwiłłowskich. Jeździ na Śląsk przez Kraków, to do Berlina przez Poznań; zna Kalisz, zna Ojców, zna Toruń, Gdańsk i Pomorze. To wczesne poznanie różnych okolic ojczyzny pozwoliło mu na dokładną znajomość tego wszystkiego, co owe tak rozliczne części łączyło: stąd jego czułość i wrażliwość na wszystko co naprawdę było narodowe w najgłębszym, nie banalnym tego sło-

wa znaczeniu. A chwytliwe jego ucho łowiło dźwięki muzyki gdziekolwiek je zasłyszało i skądkolwiek one pochodziły. Trzeba przy tym uprzytomnić sobie jak się te podróże Szopena odbywały.

Jeździło się końmi, które nie biegły szybko, często ledwie się wlokły, zwłaszcza tam gdzie nie było drogi szosowanej. A w tych miejscach, gdzie turkot drewnianych kół nie głuszył dźwięków, od pól otaczających i od mijanych wiosek dolatywały dźwięki piosenek i brzęk muzyki, które głęboko wpadały w serce Fryderyka. Dziś jeszcze, kiedy zechcemy śladami Szopena przemierzyć nasz kraj, używając do tego nie hałaśliwych samochodów czy pociągów, ale wędrując w ciszy i z otwartymi uszami, to znaczy po prostu piechotą, we wszystkich tych miejscach, gdzie jeszcze nie dotarła niwelująca cywilizacja, usłyszymy ów dźwięk i owo słowo i ową pieśń, która tak oczarowała młodocianego Fryderyka. Na stacjach gdzie się zatrzymywano na popas, spotykano znowuż wędrownych muzykantów, a w karczmach, gdzie spożywano proste posiłki, natykano się na żydowskie orkiestry lub chłopskie muzyki przygrywające do tańca. W płockiem były to tęskne kujawiaki, mazury na Mazowszu, a pod Krakowem krakowiaki, których wdzięk zamknął Szopen w kilku swoich niezrównanych kompozycjach.

Z wędrówek przynosił nie tylko znajomość polskiego

pejzażu i polskiej muzyki, ale także znajomość ludzi, których potrafił barwnie i dosadnie charakteryzować, i jeszcze na dobitek najzabawniej w świecie naśladować. Ludzi znał doskonale, nigdy się też na nich nie zawodził, bo ich nie idealizował i brał ich takimi jacy są, kochając ich z ich wadami i zaletami. A znajomość ta pozwalała mu także ludzi tych umiejętnie dla swoich spraw wyzyskiwać. Zawsze po przyjacielsku, ale wprzęgał ich w służenie swoim interesom i do załatwiania nawet najdrobniejszych spraw używał. Toteż w życiu Szopena widzimy cały szereg jego przyjaciół, którzy oddani mu i wierni, dzielili z nim jego troski i kłopoty. Przyjaciele ci ułatwiali nieraz Szopenowi jego trudne życie, a jak bardzo ich od najwcześniejszej młodości potrzebował, świadczą bardzo charakterystyczne listy. Np. naprzód dziecinne jeszcze listy do młodego Janka Białobłockiego, potem młodzieńcze, pełne zwierzeń epistoły do Tytusa Wojciechowskiego.

Oto na przykład taki liścik do Białobłockiego:

Warszawa (w czerwcu) 1826.

Drogi Jasiu!

Nie spodziewaj się w tym liście zwykłych imieninowych komplementów, owych uczuć, wynurzeń, wykrzykników, apostrof, patetycznych części i innych tym podobnych bzduranin, dubów, andronów i bredni; dobrę

to jest dla owych głów, którym w braku przywiązania na trywjalnych nie zbywa wyrazach; ale kogo jedenastoletnia wiąże przyjaźń, kto 132 razy wspólnie liczył miesiące, 468 zaczynał tygodni, 3.960 dni, 95.040 godzin, 5.702.400 minut, 342.144.000 razem przeoddychał sekund, ten nie potrzebuje nawet o sobie wspominać, nie potrzebuje listów z komplementami pisać, bo nie napisze nigdy tego, coby chciał.

Przystępując więc ad rem *zaczynam prawić od rzeczy; a najprzód wyrzucać to, czego strawić nie mogę, to jest, że Jegomość dobrodziej nie pisał do mnie od kilku miesięcy. Czemu? Dlaczego? Cur? Warum? Pourquoi?... Bardzo mnie to irytuje, a jeżeli poprawa nie nastąpi to będzie źle z nami. Że ja tak często pisać nie mogę, to darmo; wiesz, że się sadzę, spinam po patent, ale coś nie dla psa kiełbasa; bardzo słychać u nas że pierwszoletnim zasie.* Operam et oleum perdidi, *jeżeli sobie przypominasz z* Tyrocinium. *Ale podobno na nic się nie zda zrzędzić, lepiej papieru nie psuć i zamiast nieprzyjemnych, przyjemne pisać ci nowiny.* Ecce homo! *oto i człowiek przybył wczoraj na świat. Linde, Linde dostał sukcesora. Wszystkich nas to ucieszyło, spodziewam się, że i ty podzielisz radość. W naszych koszarach coś często podobne słychać nowiny, jak to z przeszłego listu wiesz dobrze.*

Głośno słychać, że za dwa lub 3 tygodnie dadzą

Freischütza; *ile mi się zdaje* Freischütz *w Warszawie wiele narobi hałasu. Zapewne liczne będą reprezentacje i słusznie. Albowiem wiele to już jest, kiedy nasza opera sławne Webera wystawić potrafi dzieło. Jednakże, zważając cel, do którego Weber dążył w* Freischütz*u, jego osnowę niemiecką, ową dziwną romantyczność, nadzwyczaj wyszukaną harmonję, Niemcom szczególnie do gustu trafiającą, wnieść można, iż publiczność warszawska, przyzwyczajona do lekkich Rossiniego śpiewów, z pierwszego wstępu, nietyle z przekonania, ile idąc za głosem znawców, dlatego chwalić będzie, że wszędzie Weber chwalony.*

Ecce femina, non homo, *córeczkę ma rektor. Bodajto, wczoraj mówili, że syn, dzisiaj, że córka, ostatnie jednak prawdziwsze są wieści. Wczoraj mieliśmy wizytę szanownego męża, pana Kozickiego, przystawiał pijawki jednemu z malców i dużo o kanałach przechodzących, przeżuwających, grdykowych, jabłku adamowem nagadał, bo przy grdyce czynił operacje. Był w pończoszkach kolorowych, buty et cetera brudne tak jak zawsze, zwyczajna kamizelka, ale kapelusz nowy, raczej odnowiony. Bądź łaskaw, donieś mi też czyś nuty odebrał. Nie posłałem ci wprawdzie moich bzdurstw, ale za to walce Aleksandra Rembielińskiego powinny ci się podobać, a jeżeli który zrazu za trudny zdawał się tobie, zacznij tylko ruszać a dobrze twemi zardzewiałemi pa-*

luchy (albowiem pewnieś nic w Bischofswerder nie grał) a zobaczysz, że godne są twojej osoby, to jest tak ładne jak ty. Nie myśl, żebym ostatnią kommę pisał, duchem Plinjusza, przyzwyczajenie wiele tu działa, i pies czasem wydaje się pięknym swemu panu... Hahaha... co za metamorfoza: pan psem, a pies panem!... to tylko na moment, albowiem niema psa wierniejszego nade mnie.

Żebyś wiedział jakie odmiany w naszym ogrodzie botanicznym, tobyś się wziął za głowę. Takie klomby porobili, drogi, plantacje, krzewy i t. d., że aż miło wejść, zwłaszcza że mamy klucz od niego. Jeżeli ci się dzikiem nieco moje pismo wyda, nie dziwuj się, bom słaby. Jeżeli nic nie znajdziesz o wakacjach, nie dziwuj się, bo ci w przyszłym napiszę liście. Jeżeli nie posyłam ci moich bredni klawicymbałowych, nie dziw się, bo to ja. Jeżeli oczekujesz przecie jakiego życzenia od domu, czytaj to, co potem następuje. Równie Mama jak i Papa, równie siostry jak i znajomi szczerze każą mi załączać życzenie. Ludwika tylko ci nic nie życzy, bo na wsi u pani Skarbek już od dwóch siedzi tygodni. Spodziewana dziś lub jutro. Domowicz był onegdaj w Warszawie. Żywny zdrów. Pani Dekert słaba. Bardziński szczególniejsze załącza ukłony. Żyj więc szczęśliwy, drogi, luby Jasiu, oczekuję listu. Ściskam serdecznie.

F. F. Chopin.

Papie twemu uszanowanie od całego domu.

Pannie Konstancji całus od dzieci w buzię, a ode mnie w rączkę.

Jeżeli zobaczysz Szafarnię, Płonę, Gulbiny, Radomin, Ornówek, wspomnij moje imię, spojrzyj na kartofle i smutny przemów: tu niegdyś dzielny z koniem wkroczył, tutaj Krapocka przyszła mu na pomoc.

A oto drugi list z późniejszej nieco epoki, przed samym już wyjazdem z kraju do Tytusa Wojciechowskiego pisany:

Warszawa, sobota dn. 27 marca 1830.

Najdroższe Życie moje!

Nigdy mi tak ciebie nie zbywało jak teraz; nie mam komu się wylać, nie mam ciebie. Twoje jedno spojrzenie po każdym koncercie byłoby mi więcej jak wszystkie pochwały gazeciarzów, Elsnerów, Kurpińskich, Solivów i t. d. Zaraz po odebraniu listu od ciebie, chciałem opisywać ci pierwszy koncert, ale tak byłem roztargniony i zajęty preparatywami do drugiego, który zaraz w poniedziałek dałem, żem zasiadłszy, nie mógł myśli zebrać do kupy. I dziś wprawdzie jeszcze tak jestem — ale już nie będę czekał chwili spokojnego umysłu, tak rzadkiej dla mnie chwili — bo poczta odejdzie. Pierwszy więc koncert lubo był pełny i od trzech

dni naprzód ani lóż ani krzeseł nie było, nie zrobił na masie wrażenia, jakem ja rozumiał. — Pierwsze Allegro dla małej liczby przystępne, zyskało bravo, ale jak mi się zdaje dlatego, że trzeba się było dziwić, co to jest!... Adagio i Rondo największy efekt sprawiło, tu już szczersze okrzyki dały się słyszeć — ale co Potpury na temata polskie zupełnie podług mnie celu nie dopięły. Dano brawo i w tem przekonaniu, że trzeba mu dać na odchodnem znać, żeśmy się nie znudzili. — Kurpiński uważał tego wieczora nowe piękności w moim koncercie, a Wiman jeszcze się przyznał, że nie wie, co ludzie dopatrują w mojem Allegro. Ernemann był zupełnie kontent, a Elsner żałował, że mój pantalion głuchy i że basowych pasaży słychać nie było. Tego wieczora o ile paradysowi i ci co w orkistrze stali byli zadowoleni, o tyle parter narzekał na ciche granie — i chciałbym być u Kopciuszka, żeby słyszeć debata, jakie się musiały toczyć o moją osobę. Dlatego to Mochnacki w Kurjerze Polskim, wychwaliwszy mię pod niebiosa, a szczególniej Adagio, na końcu radzi więcej energji. Domyśliłem się, gdzie ta energia siedzi, i na drugim koncercie nie na swoim ale na wiedeńskim grałem instrumencie. Diakow jenerał rosyjski, tyle był grzeczny, że mi dał swojego instrumentu lepszego jak ów Hummlowski — i dopiero jeszcze liczniej jak na pierwszym zgromadzona publiczność zadowolona była. Dopiero oklaski, pochwały, że

każda nutka jak perełka wybita, i że na drugim lepiej grałem jak na pierwszym, i dalej, po wywołaniu mię, wrzeszczeć o trzeci koncert. Krakowskie Rondo ogromny efekt zrobiło, cztery razy ponawiano oklaski. Kurpiński żałował żem na wiedeńskim (instrumencie) Fantazji nie grał, — czego się nawet w Kurjerze Polskim nazajutrz Grzymała domagał. — Elsner powiedział, że po 2-gim koncercie dopiero mogą o mnie sądzić, — lubo ja szczerze powiem, że wolałbym był na swoim grać. Głosem to jest jednak powszechnym, że instrument lepiej był zastosowanym do miejsca. — Rozkład pierwszego koncertu był tobie wiadomy, drugi koncert zaczął się od Symfonji Nowakowskiego (par complaisence) poczem pierwsze Allegro z koncertu. Bielawski zagrał Bériota Warjacje, poczem Adagio i Rondo. Drugą część rozpocząłem Rondem Krakowskiem; poczem Mayerowej udało się lepiej aniżeli kiedy zaśpiewać arję Solivy z „Heleny i Malwiny". Nareszcie improwizowałem, co się pierwszo-piętrowym lożom bardzo podobało. — Jeżeli Ci mam szczerze powiedzieć to improwizowałem nie tak jak miałem ochotę, bo to nie dla tego świata było. Mimo to jednak dziwię się, że Adagio tak powszechny efekt zrobiło; gdzie się obrócę mi tylko Adagio przypominają. Pewno masz gazety wszystkie, albo przynajmniej główniejsze; stamtąd możesz miarkować że byli kontenci. Moriolówna przysłała mi wie-

niec laurowy, dziś jeszcze dostałem wiersze jakiegoś kogoś. — Orłowski narobił mazurków i walców z tematów mojego koncertu. — Sennewald, kompanista Brzeziny prosił mię o mój portret, ale mu tego nie mogłem pozwolić, boby za wiele było naraz, i nie mam ochoty, żeby we mnie masło owijano, tak jak się to z portretem Lelewela stało.

Tobie przyślę jak tylko będę mógł najspieszniej, chcesz tego, więc mieć będziesz, ale nikt prócz ciebie mojego portretu mieć nie będzie — mogłaby jeszcze mieć osoba jedna tylko, — i to nigdy przed tobą — bo tyś mi najdroższy. Twego listu nikt prócz mnie nie czytał. Jak zawsze tak i teraz noszę twoje listy przy sobie. Jakże mi będzie błogo — w maju, wyszedłszy za mury miasta, myśląc o mojej zbliżającej się podróży, dobyć twojego listu i szczerze się zapewnić, że mię kochasz — a przynajmniej spojrzeć na rękę i pismo tego, którego ja tylko kochać umiem! — W przyszłym tygodniu chciano, abym grał jeszcze jeden koncert, ale ja nie chcę. Nie uwierzysz co za męka trzy dni przed wystąpieniem. Zresztą przed świętami skończę 1-sze Allegro 2-go koncertu, a zatem zaczekam z 3-cim koncertem aż po świętach, chociaż wiem, że i teraz jeszcze więcej mógłbym mieć słuchaczów, bo cały wielki świat mało mię słyszał. Między głosami parterowemi, na ostatnim koncercie o trzeci wołającemi, odezwał mi się je-

den „na ratuszu“ tak głośno żem na scenie usłyszał; ale wątpię żebym go usłuchał, bo jeżeli dam, to pewno w teatrze. Nie idzie mi o zysk, bo i teatr mi niewiele przyniósł, ponieważ kasjer robił co chciał, bo jemu się zdało wszystko. Z obu koncertów odtrąciwszy koszta nie było 5-ciu tysięcy, — lubo Dmuszewski wspominał że fortepianowego koncertu nie było jeszcze tak licznego jak pierwszy, a tem bardziej drugi. Ale idzie mi o to, że w ratuszu nie z mniejszym ambarasem, niewiele większym efektem grałbym także nie dla wszystkich, bo albo dla najwyższej klasy, albo dla miasta. Jeżeli kiedy, to teraz czuję, że jeszcze się ten nie narodził, coby wszystkim dogodził.

Wszystko chowałem na deser, a tymczasem nie mam innego deseru jak tylko uściśnienia najszczersze, bo ja Ciebie tylko mam.

F. Chopin

W tym liście — umyślnie z innych wybranym — spowiada się Szopen Wojciechowskiemu ze swoich zmartwień i nadziei muzycznych. Inne jednak przepełnione są aluzjami i wspomnieniami o „jeszcze jednej osobie“. Są to zwierzenia miłości do panny Konstancji Gładkowskiej, śpiewaczki opery warszawskiej, która coraz mocniej jego sercem władała. W parę miesięcy później pisze znowu do Tytusa:

Sobota, podobno *4-ty września.*

Najdroższy Tyciu!

Powiadam Ci Hipokryto, że już mnie szały napadają mocniejsze jak zazwyczaj. — Jeszcze siedzę — nie mam dość siły do zdecydowania dnia (wyjazdu); myślę że wyjeżdżam po to żebym na zawsze zapomniał o domu; myślę że jadę umrzeć, — a jak to przykro musi być umierać gdzie indziej, nie tam, gdzie się żyło. Jakże mi to okropnie będzie widzieć zamiast rodziny zimnego doktora albo służącego przy łóżku śmiertelnem. Jeszcze nie próbowałem koncertu — jakkolwiekbądź przed św. Michałem porzucę wszystkie moje skarby i będę w Wiedniu skazany na wieczne wzdychy...

Przyczyną tych „wzdychów" było uczucie, aczkolwiek młodzieńcze i świeże, jednak dostatecznie silne, aby Szopena przed zamierzoną podróżą za granicę prawie przez półtora roku powstrzymywać.

W istocie, Szopen w roku 1829 skończył swe wykształcenie muzyczne w warszawskiej Szkole Głównej Muzyki. Z tą chwilą stawał się wolnym artystą, pragnął czym prędzej wyjechać z kraju, który odgrodzony moskiewskim kordonem od wszelkich prądów myśli i sztuki europejskiej stawał się coraz bardziej partykularną prowincją. Wycieczka do Wiednia, gdzie dał

dwa koncerty, uwieńczona dużym powodzeniem, wzmogła w nim nie tylko tęsknotę do szerokiego lotu, ale i pragnienie wielkiej sławy. Czuł przy tym, że, jak pisał pan Mikołaj Szopen, „mógłby się stać użytecznym krajowi w obranym zawodzie, gdyby miał sposobność dokończenia nauk do zupełnego uzdatnienia się potrzebnych. Potrzeba mu teraz tylko, aby mógł zwiedzić zagraniczne kraje, zwłaszcza Niemcy, Włochy, Francję, ażeby się na dobrych wzorach dostatecznie mógł ukształcić".

Miłość do młodej śpiewaczki, pięknej panny Konstancji Gładkowskiej, miłość, o której się ona sama dopiero po śmierci Szopena dowiedziała, nosiła wszelkie cechy modnego podówczas romantyzmu, którego i sam Szopen, jak można wnioskować z listu o *Freischützu,* był wielkim wielbicielem. Miłość ta w sercu Szopena pozostawiła echo pogodne i piękne, niby wspomnienie kwiatu na wiosnę widzianego. A portret panny Konstancji jaki nam zostawił podług słów własnych w *Larghetto* z koncertu f-moll, dyszy pogodą i słodyczą, przykryty lekką mgłą smutku i daleki jest od wszelkiego wybuchu namiętności.

Podczas gdy zajęty swoim uczuciem młodociany Fryderyk wahał się i wciąż odwlekał datę odjazdu z Polski — zresztą odjazdu w podróż, która miała trwać tylko lat parę, — podług projektu Szopena i jego rodziny, —

nad owoczesną Europą gromadziły się chmury. Kiedy drugiego listopada żegnały wreszcie odjeżdżającego Fryderyka na przedmieściu wolskim chóralną pieśnią rzesze jego przyjaciół — nie przeczuwał jak tragiczną wypadło rolę odegrać temu przedmieściu w najbliższych wypadkach. Droga naszego artysty zatrzymała się w Wiedniu. Nie wiedział, gdzie ma stamtąd ruszyć. Do Paryża się nie wybierał, ponieważ uważał że nie jest tam jeszcze spokojnie po rewolucji lipcowej, która wygnała Burbonów z Francji, we Włoszech, dokąd z początku zamierzał się udać, też było niespokojnie, patriotyczni mieszkańcy Wenecji poczynali się burzyć przeciwko Austriakom, którzy tam rządzili — a niebawem nadeszły i wieści z Warszawy o wybuchu powstania listopadowego. Tytus Wojciechowski, który bawił w Wiedniu z Szopenem w te pędy podążył do Warszawy, aby wziąć udział w wojnie. Szopen się nie mógł zdecydować; zdawał sobie bowiem sprawę, że jego słabe siły fizyczne nie pozwolą mu wziąć udziału w walce zbrojnej; gonił mimo to odjeżdżającego Tytusa, nie dogoniwszy go do Wiednia powrócił, i tam trawiony niepokojem, przeżywał dziwne chwile. Strach o pannę Gładkowską, o siostry, o rodziców, wreszcie o przyjaciół, których większość wzięła oręż do ręki — paraliżował jego twórczość i mechanizował jego czynności. O owoczesnym stanie Szopena dają pojęcie jego listy

obficie do kraju posyłane. Oto jak pisze dnia 1 stycznia 1831 roku do Jasia Matuszyńskiego:

„Odebrałem twój list z 22-go. Najlepszy przyjacielu w świecie, masz, coś chciał. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Kocham Was nad życie. Pisz do mnie. Tyś w wojsku! Ona czy w Radomiu? Kopaliście wały? Biedni rodzice nasi. Moi przyjaciele co robią? U Was żyję. Umarłbym za Ciebie, za Was. Czemuż ja tak dzisiaj opuszczony? Czy to tylko Wy macie być razem w tak okropnej chwili? Flet twój będzie miał co jęczeć, ale niech się wprzódy pantaljon wyjęczy. Piszesz że wychodzicie. Jakże oddasz? (list pannie Gładkowskiej). Nie przesyłaj. Ostrożnie. Moi Rodzice! Możeby źle myślano. A dalibóg to szczerość. Buzi daj. Do Paryża może za miesiąc wyjadę, jeżeli tam cicho będzie. Kochaj mnie zawsze tak jak dziś. Freyer Cię kocha; także ubolewa, że nie z wami. Idę na obiad do Malfattiego. Jutro jestem u Steinkellera. Nie zbywa na rozrywce, ale chęci rozerwania się — i jeszczem się w Wiedniu nie bawił. Dziś Nowy Rok! jakże go smutno zaczynam! Może go nie dokończę. Ściśnij mnie. Ty idziesz na wojnę. Wróć pułkownikiem. Niech Wam się wiedzie. Czemuż nie mogę choć bębnić!

Ch.

Wreszcie po długich miesiącach niepokoju, niepewności, trudności finansowych Szopen wyjeżdża z Wied-

nia, namówiony do tego przez rodziców, którzy przy tym wyjazd ten umożliwili mu przysłaniem większej sumy pieniędzy. Wieść o wzięciu Warszawy przez Moskali zastaje go w Stuttgardzie. Tutaj pod wpływem tej wstrząsającej wiadomości „piorunując na fortepianie" komponuje najdramatyczniejsze swoje utwory, etiudę c-moll i preludia d-moll i a-moll. Tutaj także w zachowanym na szczęście notatniku kreśli te wyrazy pamiętne i przerażające, malujące dobitnie stan duszy tego Polaka w dniach grozy i tragedii, zawisłej nad jego ukochanym miastem i rodzinnym krajem.

„Stuttgard. Pisałem poprzednie karty, nic nie wiedząc — że wróg w domu! — Przedmieścia zburzone — spalone — Jaś! — Wiluś na wałach pewnie zginął — Marcela widzę w niewoli — Sowiński, ten poczciwiec w ręku tych szelmów! — O Boże, jesteś Ty! Jesteś i nie mścisz się! — Czy jeszcze ci nie dość zbrodni moskiewskich — albo — alboś sam Moskal! Mój biedny Ojciec — mój poczciwiec — może głodny, nie ma za co matce chleba kupić! Moje siostry — może uległy wściekłości rozhukanego żołdactwa moskiewskiego! Paszkiewicz — jeden psiak z Mohilewa dobywa siedziby pierwszych monarchów Europy? — Moskal panuje światu? — O Ojcze, takież to przyjemności na twoje stare lata? — Matko cierpiąca, tkliwa matko, przeżyłaś córkę, aby się doczekać, jak Moskal po jej kościach wpadnie gnębić was? Ach, Powązki! — Czy grób jej szanowali? — Zdeptany, tysiąc innych trupów przywaliło mogiłę — Spalili miasto! — Ach, czemuż choć jednego Moskala zabić nie mogłem! — O Tytusie — Tytusie!

*

Stuttgard. — Co się z nią dzieje? Gdzie jest? — Biedna. — Może w ręku moskiewskiem! Moskal ją prze, dusi, morduje, zabija. Ach, życie moje, ja tu sam! — chodź do mnie — otrę łzy twoje — zagoję rany teraźniejszości, przypominając Ci przeszłość — Wtenczas kiedy jeszcze Moskali nie było — wtenczas kiedy tylko kilku Moskali Tobie najgoręcej podobać się chciało — a tyś z nich kpiła, bom ja tam był, ja, nie Grabowski (przyszły mąż panny Gładkowskiej) *— Masz Matkę? — i taką złą! — Ja mam taką dobrą — A może wcale matki już nie mam. Może ją Moskal zabił, zamordował, siostry bez zmysłów, nie dają się... nie — Ojciec? w rozpaczy nie wie sobie rady, niema komu podnieść Matki — A ja tu bezczynny — a ja tu z gołemi rękami — czasem tylko stękam, boleję na fortepianie — rozpaczam — i cóż nadal? — Boże, Boże, wzrusz ziemię, niech pochłonie ludzi tego wieku — Niech najsroższe męczarnie dręczą Francuzów, co nam na pomoc nie przyszli —"*

Te zachowane fragmenty pamiętnika na chwilę tylko ukazują nam Szopena romantyka z całym bólem i gniewem, który mu tak samo jak Mickiewiczowi, każe bluźnić i nazywać Boga Moskalem. Przez chwilę tylko — w ciągu całego życia — Szopen piorunuje nie tylko na fortepianie. To wszystko, co dotychczas wyrażał w burzliwych etiudach — przez jedną chwilę wyraża słowami.

Odtąd już dusza jego zamyka się przed okiem ludzkim. W niedługi czas po tym widzimy go już w Paryżu, sztywnego, eleganckiego i jak gdyby zapominającego o swoich sztuttgardzkich uniesieniach. Ale jego sztuka świadczy najgoręcej o tym, że nie zapomniał. Pulsuje w niej ta sama siła przywiązania i moc namiętności, ten bunt przeciwko przeznaczeniu i usiłowanie wyjścia poza ramy zwyczajnej banalności życiowej. Stęka, boleje, rozpacza odtąd tylko na fortepianie. Tym głębsza może jest ta rozpacz i ta boleść.

W jesieni 1831 roku przybył Szopen do stolicy Francji, aby tam już pozostać do końca życia. Właściwie mówiąc nie należał on do emigracji, ponieważ z kraju wyjechał przed początkiem powstania i w działaniach wojennych żadnego nie brał udziału. Gdyby chciał, mógłby był począć starania o pozwolenie na powrót do Warszawy. Ale on sam moralnie poczuwał się do wspólnoty z wygnańcami i nigdy nie przestał się uważać za kolegę i towarzysza emigrantów, któremu tylko zbieg okoliczności nie pozwolił na porwanie za broń. Należał do wszystkich stowarzyszeń emigracyjnych i gdy mógł, hojną ręką wspomagał wygnańców, tym bardziej że wkrótce jego zarobki stały się wcale okazałe. Każdy Polak, jaki się do niego zwrócił, znajdował zawsze serdeczne przyjęcie, chętne serce i gościnność uprzejmą, jakiej się w Polsce w zacnym domu swoich rodziców nauczył.

Na zewnątrz jednak, w atmosferze wielkiego miasta, raczej wydawał się zimny. Zawsze bardzo wytworny

i elegancki, zawsze pamiętający o drobiazgach swojego ubioru, wkrótce stał się bywalcem kół artystycznych i arystokratycznych. Z usposobienia konserwatysta lubił przebywać w towarzystwach, gdzie nic nie raziło jego zmysłu estetycznego i delikatności jego manier.

W krótkim stosunkowo czasie wysunął się Szopen na czoło wśród wybitnych i najwybitniejszych artystów, jakimi przepełniony był wówczas Paryż. Od razu zyskał rozgłos jako kompozytor i wykonawca, i zaprzyjaźnił się ze wszystkimi znakomitościami ówczesnego Paryża. Uzyskał także sławę wybitnego pedagoga i począł dawać lekcje — „po pięć lekcyj dziennie“ — jak pisze, które mu pozwalały zarobkować dość dobrze i pędzić eleganckie życie. Mógł sobie pozwolić na zawsze świeże białe rękawiczki i na własny powóz — bez czego nie można się było pokazać „w eleganckim świecie“.

Trzeba sobie zdać sprawę, czym był ów Paryż w początkach panowania Ludwika Filipa. Obraz prawdziwy tego Paryża odmalował nam w swoich powieściach Balzac. Ile tu było rozmachu i zapału, ile zgromadziło się najrozmaitszych znakomitości! W literaturze to epoka walk staczanych przez romantyzm, epoka także wielkich pisarzy. Musset, Lamartine, Wiktor Hugo — odnawiali piśmiennictwo francuskie. W plastyce Delacroix — przyszły przyjaciel Szopena — rzucał podwaliny malarstwa romantycznego, z którego narodziła się

cała wielka sztuka współczesna Francji. Polscy wielcy poeci codziennie prawie stykali się z Szopenem, przyjaźnił się on przede wszystkim z Mickiewiczem, — ale także i z Goszczyńskim, Zaleskim, Witwickim, do którego słów pisał piosenki i któremu dedykował najpiękniejsze swoje mazurki, — spotykał się i ze Słowackim, którego jednak nie lubił i którego mało cenił jako poetę. Był dobrym znajomym arystokratycznych polskich salonów. Przyjaźnił się z Czartoryskimi, Platerami, Potockimi.

Ale przede wszystkim tonął w świecie muzycznym. Muzyków wtedy w stolicy Francji było wielu. Świat muzyczny przyjął z otwartymi rękami młodego Polaka, którego geniusz olśniewał wszystkich. Starą włoską szkołę reprezentował Rossini i Cherubini, którzy królowali w paryskiej operze, ale najwięcej cieszyli się Szopenem młodzi romantycy francuscy jak Berlioz i niemieccy jak Hiller, Mendelssohn i Liszt, którzy w Paryżu rozbili swe namioty. Trzeba przyznać że wielkie zalety muzyki Szopena zostały najpierwej ocenione przez romantyków niemieckich, a najważniejszy z nich, Robert Schumann, już bardzo wcześnie entuzjastycznymi swymi recenzjami o pierwszych dziełach Szopena, torował mu uznanie powszechnie europejskie.

Z francuskich muzyków największą przyjaźnią obdarzał Szopena znakomity Hector Berlioz, dozgonnie wier-

ny, szczerze oddany wiolonczelista Franchomme i wielu innych.

Pochłonięty pracą kompozytorską, dawaniem lekcyj, życiem światowym, bywaniem wśród artystów, uczonych i w arystokracji, jak gdyby nie miał Szopen wiele czasu na pamiętanie o swoich, o kraju, o ojczyźnie. Sława wzrastająca i powodzenie kazały mu zapominać o Polsce. A jednak tęsknota jego była wielka. Odzywała się ona nie tylko w nutach komponowanych utworów. Dyszą nią także listy do rodziny, olbrzymie foliały, zajmujące się najdrobniejszymi szczegółami życia codziennego. Wtajemniczają one rodzinę w cały bieg dnia, we wszystko co Szopen robi, kogo widzi, z kim i o czym mówi. I jeżeli nigdy nie pisze o tym co czuje, to pomiędzy liniami tych listów przeczytać możemy o wiele więcej: o jego bólu i tęsknocie, o jego miłości do domu i kraju.

Toteż kiedy w parę lat po wyjeździe z Polski ma sposobność spotkać się z rodzicami w Karlsbadzie, jest to dla niego tak wielkie szczęście, że jest prawie nieprzytomny. Oto jak pisze Fryderyk do sióstr — które zawsze nazywa „dziećmi" — o tym spotkaniu:

„Moje dzieci kochane, pierwszy list odbieracie z Papy i mojem pisaniem. Nie do opisania nasza radość! Ściskamy się a ściskamy — i cóż więcej można? szkoda że

nie wszyscy razem. Bobo cudowne! jakże Pan Bóg łaskaw na nas! Co piszę to bez ładu; lepiej dziś nic nie myśleć: używać szczęścia jakiego się dożyło. To jedno, co mam dzisiaj. Ciż sami rodzice, zawsze ciż sami, tylko się mi troszkę podstarzeli. Chodzimy, prowadzimy panią Matulę pod rękę, rozmawiamy o Was, udajemy złośników siostrzeńców, opowiadamy sobie, ile razy jedno o drugiem myślało. Pijemy, jemy razem, każolujemy się — hukamy na siebie. Jestem au comble de mon bonheur. *Też same zwyczaje, też same ruchy, w których urosłem, taż sama ręka, której ja tak dawno nie całowałem. No, moje Dzieci, ściskam Was, i darujcie mi że nie podobna mi zebrać myśli i o czem innem pisać jak o tem, żeśmy szczęśliwi w ten moment; żem miał tylko nadzieję zawsze a dziś realizację tego szczęścia, i szczęścia, i szczęścia.*

Z radości duszę Was ze szwagrami, jak moich najmilszych na tym świecie.

Ch.

W tym samym czasie świta Szopenowi i inna nadzieja zbliżenia się do kraju. Poznaje on — a raczej przypomina się znajomej rodzinie zamożnych obywateli z Polski, Wodzińskich. Synowie pp. Wodzińskich byli przez pewien czas pensjonariuszami u Szopenów, a Fryderyk dawał lekcje muzyki ich siostrze, młodziutkiej

wówczas dziewczynce, pannie Maryni. Podczas pobytu w Paryżu Szopen opiekował się bratem Maryni Antosiem zamieszanym w walki domowe hiszpańskie, przesyłał jego listy do rodziny i tym sposobem odnowił znajomość. teraz w Karlsbadzie, a potem w Dreźnie spotkał całą rodzinę. Panna Marynia urosła, przemieniła się w śliczną i mądrą pannę. Niedawno w Genewie składał jej hołdy Słowacki, wyimaginował sobie jej miłość i o tej fantastycznej miłości napisał poemat, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy: „W Szwajcarii". Teraz znowu Szopen ulega czarowi inteligentnej i posiadającej rozliczne talenty panny. Spotyka się w rok potem — w 1836 — znowu z rodziną Wodzińskich w Dreźnie.

Do tego czasu odnosi się zapewne tak często wspominana przez Szopena w listach „szara godzina", godzina wyznań miłości i marzenia na fortepianie. Wówczas to Szopen, rozmówiwszy się z matką panny Maryni, starą hrabiną Wodzińską, poczyna łudzić się nadzieją szczęścia i możliwego małżeństwa. Przyrzeka pani Wodzińskiej bardziej dbać o swoje zdrowie, pijać lekarstwa, chodzić wcześniej spać i nosić wełniane skarpetki. Pani Wodzińska, troszcząc się o przyszłość córki, z przestrachem słuchała kaszlu Szopena i patrzyła na jego wychudzone oblicze.

Ale nim się chmury na ich niebie zbiorą, młodzi są

szczęśliwi. Pamiątką tego szczęścia jest album ofiarowany przez Szopena Wodzińskiej, a w tym albumie wpisane dla niej komponowane utwory — najzwiewniejsze, najbardziej poetyczne etiudy, piosenki, walce...

Nie wiele wiemy o tej miłości. Dyskrecja i zwykła milkliwość Szopena i tutaj skryła od oka natrętów perypetie tego uczucia.

Domyślamy się raczej niż wiemy, że Szopenowi marzyć się zaczynało jakieś życie we dwoje z ukochaną żoną i że pani Wodzińska, matka, sprzyjała jednak tej myśli, mając dla pięknego i sławnego Fryderyka bardzo wiele uczucia. Widać, że powszechnie mówiono o tym małżeństwie, skoro wieść ta dotarła bardzo daleko do Słowackiego i ubodła go głęboko.

Jednakże sprawa małżeństwa szybko się pogmatwała i do wymarzonego końca nie przyszło. A złożyło się na to zapewne razem bardzo wiele przyczyn. Prawdopodobnie i stary, dumny pan Wodziński nie chciał takiego związku dla swojej córki, uważając się słusznie czy niesłusznie za arystokratę, pani Wodzińska przelękła się choroby Szopena, która pomimo „wczesnego spać się kładzenia" czyniła w Paryżu zastraszające postępy, a panna Maria łatwo od tych projektów odstąpiła, wychodząc wkrótce za mąż za bogatego i utytułowanego człowieka, który jednak dał jej tak mało szczęścia, że

się z nim — rzecz niesłychana w owe czasy — po pewnym czasie rozwiodła!

W papierach zaś pośmiertnych Szopena znaleziono listy Marii Wodzińskiej i jej matki, związane wraz z zeschłą różą, ofiarowaną mu w Dreźnie, przewiązane różową wstążeczką w małą paczkę. Na wierzchu tej paczki skreśliła ręka Szopena napis prosty, ale wymowny w swej prostocie: „Moja bieda".

Z napisu tylko tego wnioskować możemy, jak głęboko w serce Szopena wryła się ta historia niedoszłego małżeństwa i miłość nieszczęśliwa dla panny Maryni.

Wkrótce po zerwaniu z panną Wodzińską spotkał Szopen na swojej drodze drugą kobietę, która odegrała znaczną rolę w jego życiu. Była to sławna już podówczas powieściopisarka francuska, starsza od Szopena o lat parę, doświadczona życiowo, mądra, ale zimna i nierówna kobieta — pani Aurora Dudevant, znana potomności pod pseudonimem jakiego w literaturze używała: George Sand.

Miłość Szopena do tej osoby trwała lat parę i była jedynym dłuższym uczuciem, jakie Szopen przeżył. Miłość ta następnie przetworzyła się w stosunek czysto przyjacielski, w którym pani Sand odgrywała rolę macierzyńskiej opiekunki, pielęgniarki, starszej siostry zapadającego coraz bardziej na zdrowiu artysty. Opieka ta pani Sand, aczkolwiek ciężyła jej samej bardzo, była

tak cenna i bezinteresowna, iż zyskała powszechne uznanie i wdzięczność rodziny Szopena, która uważała znakomitą autorkę za anioła opiekuńczego Fryderyka.

Wiele sprzecznych sądów wypowiadano o tym związku. Jedni uważali panią Sand odpowiedzialną za zdrowie Szopena, inni znowuż — w tej liczbie Mickiewicz — mówili niedobrze o Szopenie i wyrażali swe współczucie wielkiej pisarce.

Wkrótce po zawarciu znajomości z panią Sand Szopen poczuł się tak niedobrze, iż postanowił spędzić zimę na południu w łagodniejszym i łaskawszym klimacie. Pani Sand także pragnęła usunąć się z Paryża i jej romantyczna wyobraźnia podsunęła pomysł spędzenia chłodnych miesięcy na wyspie hiszpańskiej Majorce należącej do grupy Balearów. Pani Sand doskonale się czuła w tej dzikiej w owych czasach przyrodzie, ale Szopen pozbawiony paryskiego komfortu i paryskiego trybu życia, czuł się zdenerwowany i niepewny. Na razie zresztą wszystko było pięknie i dobrze. Oto jak Szopen opisuje pierwsze swoje wrażenia:

Palma, 15 listopada 1838

„Moje Kochanie!

Jestem w Palmie, między palmami, cedrami, kaktusami, oliwkami, pomarańczami, cytrynami, aloesami, figami, granatami i t. d. Co tylko Jardin des Plantes *ma*

w swoich piecach. Niebo jak turkus, morze jak lazur, góry jak szmaragd, powietrze jak w niebie. W dzień słońce, wszyscy letnio chodzą, i gorąco; w nocy gitary i śpiewy po całych godzinach. Balkony ogromne z winogronami nad głową; maurytańskie mury. Wszystko ku Afryce tak jak i miasto patrzy. Słowem przecudne życie! Kochaj mnie. Przejdź się do Pleyela, bo fortepian jeszcze nie przyszedł. Jakim traktem go posłali? Dostaniesz Preludia *wkrótce. Mieszkać będę zapewne w przecudnym klasztorze, najpiękniejszej pozycji na świecie, morze, góry, palmy, cmentarz, kościół krzyżacki, ruiny moskietów, stare drzewa tysiącletnie oliwne. A, moje życie, żyję trochę więcej... Jestem blisko tego, co najpiękniejsze. Lepszy jestem... Oddaj moich rodziców listy Grzymale i co tylko masz mi przesłać: on wie najpewniejszy adres. Uściskaj Jasia. Jakby on tu wyzdrowiał! Powiedz Pleyelowi że dostanie niedługo manuskrypta. Mało mów znajomym o mnie. Wiele Ci napiszę potem... Powiedz, że po zimie wrócę. Poczta tu raz na tydzień odchodzi. Piszę przez Konsulat tutejszy. Poślij mój list rodzicom, tak jak jest. Sam wrzuć na pocztę.*

Twój

Ch.

„...w nocy gitary i śpiew po całych godzinach..." Przysłuchiwał się Szopen tym hiszpańskim, prawie

orientalnym śpiewom. Czy pod ich wpływem nie chwycił za pióro, czy nie zapisał ich wschodnich zawodzeń i brzmień egzotycznej gitary? Co pisze, co komponuje? Czy nosi to ślady wpływów południowej muzyki? O jednym tylko utworze z ust samego Szopena wiemy, że został skomponowany na Majorce. Jest to tak zwany przez niego „palmejski" mazurek. I o dziwo, pierwsze jego takty — rzecz u Szopena nie spotykana — przynoszą melodię popularną i szeroko w Polsce znaną, brzmiącą echami powstania, melodię wdzięczną i naiwną, melodię piosenki: „Tam na błoniu błyszczy kwiecie"...

Więc i tutaj pod tym lazurowym niebem i w tej cudownej przyrodzie, wśród której Szopen „czuł się lepszy", myśl jego, gdy siadał do pracy twórczej, biegła do tych „pól posrebrzanych", gdzie jeszcze niedawno rozlegała się żołnierska piosenka, śpiewana przez jego kolegów.

Na razie w pogodnym nastroju południowego ciepła czuł się szczęśliwy w towarzystwie kochanej kobiety i jej dwojga dzieci. Ale wkrótce wszystko się zmieniło. Przede wszystkim pogoda się popsuła i nastąpiły okropne zimowe deszcze, które przepajały wilgocią nieopalane mieszkania hiszpańskie. Szopen gwałtownie zachorował, lekarze nie wiedzieli co z nim począć: „Jeden wąchał, com pluł — pisze Szopen — drugi stukał

skądem pluł, trzeci macał i słuchał jakem pluł. Jeden mówił, żem zdechł, drugi — że zdycham, trzeci — że zdechnę..." Pani Sand ledwie ich wstrzymała od puszczenia krwi choremu, który bez wątpienia cierpiał na początki gruźlicy. Gdy wieść o powodach choroby Szopena rozniosła się po wyspie, przybyły nowe kłopoty. W obawie zarazy nikt nie chciał udzielić mu mieszkania i wreszcie musieli dziwni dla Hiszpanów przybysze osiąść w opuszczonym klasztorze Valdemosa, położonym w górach o kilkanaście kilometrów od głównego miasta Majorki, La Palma.

„*Między skałami i morzem* — pisze Szopen do przyjaciela — *opuszczony ogromny klasztor Kartuzów, gdzie w jednej celi ze drzwiami, jak nigdy bramy w Paryżu nie było, możesz sobie mnie wystawić nieufryzowanego, bez białych rękawiczek, bladego jak zawsze. Cela ma formę trumny wysokiej, sklepienie ogromne zakurzone, okno małe, przed oknem pomarańcze, palmy, cyprysy; naprzeciw okna moje łóżko na pasach, pod filigranową rozasą (różycą) maurytańską. Obok łóżka stary... kwadratowy klak (fortepian) do pisania ledwo mi służący, na nim lichtarz ołowiany, wielki tu lux (zbytek) ze świeczką. Bach, moje bazgraty i nie moje szpargały... cicho... można krzyczeć... jeszcze cicho... Słowem piszę Ci z dziwnego miejsca.*"

Zdrowie Szopena jednak w tym „dziwnym miejscu" nie przychodziło do równowagi, nerwy rozdrażnione do najwyższego stopnia przyprawiały go o gniewy i przywidzenia. Ledwie się ciepło zrobiło — już uciekać z przeklętej Majorki pragnął i nie czekając na przepych południowej wiosny, wraz z panią Sand podążył z powrotem do Francji. Naprzód w Marsylii francuscy lekarze (i ciepła słoneczna pogoda) sprawili, iż zdrowie jego znacznie się poprawiło. A potem udał się na lato do majątku pani Sand, położonego w środkowej Francji. W tym Nohant — jak nazywał się ten wiejski dwór — przepędzał Szopen odtąd każde wakacje i tutaj też najłatwiej i najwięcej komponował. Zaraz pierwsze lato w tej miejscowości spędzone, zaznaczyło się wzmożeniem działalności kompozytorskiej, następnie poszły inne lata — a każde przynosiło jakieś większe dzieło, jedno dojrzalsze i doskonalsze od drugiego.

Na zimę wracał Szopen do Paryża do swoich lekcyj, do swoich uczniów, których bardzo lubił, do swoich muzycznych przyjaciół — ale także do teatrów, do salonów, do wieczorów, gdzie pozostawał zazwyczaj do późnej godziny, ku wielkiemu oburzeniu pani Sand. Przez te lat parę mieszkał zawsze w pobliżu swojej przyjaciółki — i aczkolwiek uczniów i przyjaciół przyjmował u siebie — dom pani Sand uważał za swój i spędzał tam wszystkie wolne godziny. Rozmawiano, przyjmowano

wspólnych przyjaciół, czytano głośno, dyskutowano świeże nowości literackie. A przy tym Szopen wywierał doskonały wpływ na dzieci pani Sand, Maurycego i Solange, którymi interesował się i opiekował prawdziwie po ojcowsku.

Ale po kilku latach takiego życia spokojnego i unormowanego, które i dla pani Sand i dla Szopena zaznaczyły się wzmożonym plonem twórczości, ich wzajemny stosunek zaczął się oziębiać i psuć coraz bardziej. Jakie były powody poróżnienia się Szopena z panią Sand, trudno jest teraz dociekać; było ich zapewne bardzo dużo. Największym i zasadniczym była oczywiście wyraźna różnica przekonań, upodobań, obyczajów — słowem całych charakterów. Szopen był arystokratą, pani Sand demokratką, Szopen zamknięty i chłodny, pani Sand wylewna i ekspansywna, Szopen milczący, pani Sand — gadatliwa. Wreszcie pani Sand ubóstwiała Maurycego, a uważała Solange za złą dziewczynę — zaś Szopen raz po raz ścierał się z dorastającym Maurycym i stawał w konfliktach domowych po stronie Solange. Wreszcie kiedy Solange miała wyjść za mąż, całą sprawę rozstrzygnięto nie zasięgając zdania Szopena, co go głęboko ubodło. Jednym słowem latem 1847 roku Szopen po raz pierwszy od dziesięciu lat nie pojechał do Nohant i wieloletnia przyjaźń została zerwana.

Gdybyśmy nawet najsurowiej chcieli sądzić panią

Sand z jej egoizmem, małostkowością i krótkowzrocznością, z jej niedocenianiem wielkości Szopena, ze wszystkimi brakami jej bardzo kobiecego usposobienia, które starała się ukryć nosząc męskie stroje i paląc cygara, jeżeli nas niecierpliwi sposób w jaki wszystkie te swoje wady ukrywa i pokrywa emfatycznym frazesem, jeżeli oburzeni jesteśmy jak kłamie po prostu w swoich pamiętnikach i powieściach biograficznych, starając się wystawić siebie zawsze w jak najkorzystniejszym świetle — pozostanie niezaprzeczonym faktem, że Szopen najlepsze swe utwory skomponował pod jej dachem, w jej wiejskim zaciszu, które zastępowało dom bezdomnemu artyście. I to jedno może w naszych oczach całkowicie uniewinnić panią Sand.

Faktem także pozostanie, że gdy tylko zabrakło Fryderykowi niezbędnej opieki, prawie macierzyńskiej ręki pani Aurory, gdy zabrakło letnich miesięcy spędzanych w miłym otoczeniu i w dobrym powietrzu — zdrowie jego zaczyna się gwałtownie pogarszać. Do pogorszenia zdrowia przyczynia się zapewne lato spędzone w mało higienicznych warunkach Paryża. Może także i to, że rozstanie z panią Sand boleśnie odczuł Szopen moralnie i widział całą krzywdę, jaką wyrządziło mu oziębienie uczuć kapryśnej kobiety, która teraz zwalała całą winę na niego i niestworzone rzeczy wypisywała na Szopena w listach do swoich przyjaciół.

Nie wpłynęła na pewno na poprawę zdrowia Szopena także jego podróż do Anglii, którą przedsięwziął na początku lata 1848 roku. W podróż tę udał się za namową swojej oddanej uczennicy, „Szkotki", jak ją nazywał, panny Jane Stirling oraz jej zacnej siostry pani Erskine. Zewnętrznie miała ta podróż na celu usunięcie się z burzliwego podówczas, rewolucyjnego Paryża, a także poszukiwanie środków, które zaczęły się wyczerpywać. Wewnętrznie zapewne była to ucieczka od wspomnień, chęć oderwania się od myśli, jakie mu na każdym kroku nasuwał Paryż — także niepokój chorego, prawie umierającego człowieka.

Dzięki temu, że Szopen pisywał więcej niż zwykle z Anglii do paryskich przyjaciół, posiadamy bardzo wiele szczegółów jego pobytu w Londynie i lata spędzonego w Szkocji, w cudownych zamkach angielskiej arystokracji. Zachował się na szczęście i jeden z listów pisanych do rodziny, który zawiera prawie cały opis pobytu w Anglii. Podajemy go tutaj w skrótach. Daje on nie tylko obraz owoczesnej Anglii, widziany oczami polskiego artysty, ale także daje pojęcie o tym, jak Szopen był ceniony i przyjmowany w owoczesnym świecie, jak wielka była jego sytuacja jako artysty. A przy tym możemy w tym liście zauważyć, jak serdecznie pisał Fryderyk do rodziny, jak umiał z nią niefrasobliwie gwarzyć i jak bał się niepokoić, podając tylko lekkie szczegóły o swoim zdrowiu bardzo już wówczas podkopanym przez chorobę.

Na papierze z widoczkami Edynburga.

19 sierpnia 1848

Najukochańsi moi!

Dziękuję Wam za poczciwy list, który mię temu tydzień przeszło do Londynu doszedł. W Londynie siedziałem trzy miesiące... Dałem dwa poranne koncerta, jeden u pani Sartoris, drugi u lorda Falmouth, z wielkim sukcesem bez wielkiego hałasu. (w dopisku:) Pani Sartoris jest z domu Fanny Kemble, młoda córka sławnego aktora angielskiego, a sama sławna śpiewaczka angielska, która dwa lata była tylko na scenie i poszła za pana Sartorisa, bogatego, światowego człowieka i która przez cały wielki świat londyński adoptowana i wszędzie bywa i wszyscy u niej bywają. Znajomość jeszcze z Paryża. — Lord Falmouth, wielki amator muzyki, bogacz, kawaler, wielki pan, swój hotel na St. James Square na koncert ofiarował. Był dla mnie bardzo grzeczny — trzy grosze możnaby mu dać na ulicy — a w domu ma mnóstwo lokai lepiej poubieranych od niego. Jam ograniczył liczbę słuchających na dwieście osób u Lorda Falmouth, a sto pięćdziesiąt u pani Sartoris, co mi przyniosło po gwinei bilet (odtrąciwszy koszta) do trzystu gwinei. Londyn strasznie

drogi podczas Saisonu; — *samo mieszkanie bez niczego (prawda, żem miał salon bardzo wielki i wysoki, w którym trzy fortepiany stały, jeden co mi Pleyel przysłał, drugi co mi Erard przygotował, trzeci co mi Broadwood postawił) samo to mieszkanie, dlatego, że schody wielkie i piękne, i wchód wspaniały, i ulica Dover Street przy Picadilly, kosztowało osiemdziesiąt funtów. Teraz powóz — służący, wszystko ogromnie drogie, tak że gdybym był nie miał w domu lekcyj po gwinei, i kilku na dzień, nie wiem, jakby ze mną było. Miałem kilka świetnych wieczorów, jakem przyjechał... Księżna Sutherland miała raz u siebie Królową na obiedzie i wieczorem tylko z osiemdziesiąt osób z pierwszego świata londyńskiego... Królowa grzeczna, dwa razy ze mną mówiła, książę Albert przybliżył się do fortepianu. Powiedzieli mi wszyscy, że to rzadkie rzeczy... Chciałbym wam opisać pałac księżnej Sutherland, ale tego nie można. Wszyscy co wiedzą mówią, że królowa angielska nie ma takiego mieszkania. Wszystkie królewskie pałace i zamki, — stare, wspaniałe, ale ani tak gustowne ani tak eleganckie jak Stafford House (tak się zowie pałac księżnej Sutherland), przyległy zamkowi londyńskiemu St. James, tak jak Blacha. Np. schody są sławne z okazałości; nie są one ani w sieni ani w przysionku, tylko w środku apartamentów, jakby w jakimciś ogromnym salonie, z przepysznemi malowidłami, sta-*

tuami, galeriami, obiciami, kobiercami, w najpiękniejszym planie, z najpiękniejszemi perspektywami, — to też widzieć było na tych schodach Królową przy największem świetle, otoczoną wszystkiemi diamentami i wstęgami, — owe podwiązki schodzące z największą elegancją, prowadzące konwersacją, zatrzymujące się po rozmaitych platformach, gdzie z każdego punktu co innego jest do admirowania — to prawdziwie żałować, że taki Paul Veronese nie mógł coś podobnego widzieć, żeby zostawić jeszcze jedno arcydzieło więcej.

Po tym wieczorze u księżnej Sutherland mówiono mi, że mam grać u Królowej, ale nie wiem dlaczego nie grałem. Zapewne, żem się o to nie starał, a tutaj o wszystko trzeba się starać, taki natłok rzeczy. Nietylko żem się nie starał, alem nie był z wizytą u nadwornego kapelmistrza, a raczej tego, który urządza koncerta Królowej i jest dyrektorem orkiestry Filharmonicznego Towarzystwa. Towarzystwo Filharmoniczne ofiarowało mi, żebym u nich grał — wielka łaska, a raczej odznaczenie, bo każdy co przyjeżdża, to się o to prosi i Kalkbrenner tego roku ani Hallé nie grali mimo wszelkich zachodów. — Ale ja odmówiłem, co pomiędzy muzykantami niektórymi zły efekt zrobiło a szczególnie między dyrektorami. A odmówiłem raz dlatego, żem nie bardzo był zdrów — taką dałem przyczynę — a praw-

dziwa była, że nie wypadało mi (nic innego) tylko grać jeden z moich koncertów z orkiestrą, a tylko jedną próbę ci panowie robią i to próbę publiczną, na którą za biletami niepłatnemi wpuszczają. Jakże tu próbować i powtarzać! Więc bylibyśmy źle grali... — więc kazałem podziękować Towarzystwu Filharmonicznemu. Jeden dziennik mi to za złe wziął. Ale to nic nie szkodzi. Po moich porankach wiele dzienników miało dobre artykuły, Times *wyjąwszy, w którym pisze niejaki Davison (kreatura nieboszczyka Mendelssohna), który mnie nie zna i wystawia sobie, żem antagonista Mendelssohna (jak mi mówią). Nic to mi nie szkodzi. Tylko widzicie, że zawsze ludzie powodowani czemciś innem na świecie jak prawdą...*

Królowa, która wróciła do miasta po manifestacjach nieprzyjaznych, opozycyjnych, miała być pierwszy raz na wielkiej operze, żeby się publiczności pokazać i wybrana reprezentacja była także pierwszem pokazaniem się panny Lind (w Somnabuli*) więc ogromny rwetes na bilety: po trzy gwineje w wigilję samego dnia krzesło sprzedawano. Nie wiedziałem o tem, bom dopiero co przyjechał i w ten sam dzień ktoś mi powiedział, że jeżeli znam panią Grote, to ona prócz swej loży wielkie ma znajomości i będzie mi mogła pomóc. Poszedłem do niej z wizytą i zaraz zaprosiła mnie do swej loży. Bardzo z tego byłem kontent bom ani Królowej,*

ani Jenny Lind ani tego pysznego teatru nie widział. Ale loża pani Grote była na pierwszem piętrze, a ja dyszę po schodach, więc powróciwszy do domu zastałem od dyrektora bilet do najlepszego krzesła z komplimentami od panny Lind i pani Grote. Reprezentacja była najświetniejsza, królowa większe brawo dostała jak Jenny Lind; śpiewali God save, *cała sala* debout, *i Wellington i wszystkie wielkości tutejsze. Imponująca rzecz widzieć ten wzgląd i uszanowanie istotne dla tronu, dla prawa i porządku; uspokoić się nie mogli od entuzjazmu...*

Broadwood, prawdziwy Pleyel tutejszy, był dla mnie najlepszym i prawdziwym przyjacielem. Jest to bardzo, jak wiecie, bogaty i pięknie wychowany człowiek, któremu ojciec majątek i fabrykę zostawił, a sam się na wieś usunął. Ma on stosunki najpiękniejsze; on przyjął pana Guizot z familią do swojego domu, przez niego poznałem Lorda Falmouth. Żeby wam dać wyobrażenie o angielskiej jego grzeczności: rano raz mnie odwiedził; byłem zmęczony i powiedziałem mu, żem niedobrze spał. Wieczorem wracam od księżnej Somerset, zastaję nowe materace elastyczne, poduszki w łóżku: po wielkich kwestjach, mój poczciwy Daniel (tak się zowie mój teraźniejszy bardzo dobry służący) powiedział mi, że p. Broadwood przysłał i prosił, żeby nic nie mówić. Teraz, wyjeżdżając z Londynu temu

dziesięć dni, na kolei żelaznej do Edynburga zastałem jednego jegomościa, który mi się od Broadwooda prezentował i dał mi zamiast jednego, dwa miejsca w wagonie (drugie naprzeciwko, żeby nikt mię nie żenował) prócz tego dano mi w tenże sam sposób powóz niejakiego pana Wood, znajomego Broadwooda, a który mnie także znał (widział mnie roku 1836 w Frankfurcie u Lipińskiego!) i który ma swój dom muzyczny w Edynburgu i w Glasgowie. Także Broadwood poczciwy kazał mojego Daniela (który porządniejszy od wielu panów, a przystojniejszy od wielu Anglików) w tenże sam wagon wpakować i przejechałem 407 mil angielskich z Londynu do Edynburga przez Birmingham, Carlisle we 12 godzin par express train *(to jest najmniej zatrzymujący się konwój). W Edynburgu gdzie mi obstalowano mieszkanie w najpierwszym hotelu, zatrzymałem się żeby odpocząć dzień i pół. Zwiedziłem miasto przepiękne, którego najbrzydsze widoki na papierze tym posyłam (nie mogłem dostać piękniejszych). Ludzie co zawsze piękne rzeczy przed nosem mają, admirują zawsze coś, co mniej piękne, ale co nie pod nosem, dlatego że mniej zwyczajne. Zastałem tam grzecznych przyjaciół, którzy mi powozem swoim wygodzili na objeżdżanie miasta. Teraz do Szkocji wszyscy się zjeżdżają na otwarcie polowań. Odpocząwszy w Edynburgu, usłyszawszy przechodząc w jednym magazynie muzycznym*

ślepego jakiegoś, co grał mojego mazurka, wsiadłem do powozu po angielsku zaprzężonego, z konia powożonego, który po mnie lord Torphichen przysłał i przyjechałem tutaj, o dwanaście mil od Edynburga. Lord Torphichen jest stary, siedemdziesięcioletni Szkot, szwagier pani Erskine i panny Stirling, moich poczciwych szkockich dam, które dawno z Paryża znam, a które dla mnie tak troskliwe, u których zawsze w Londynie przesiadywałem i którym nie mogłem odmówić tu przyjechać, tem bardziej, że nie mam już co w Londynie robić, że odpocząć trzeba i że lord Torphichen bardzo mnie serdecznie zaprosił.

Miejsce to zowie się Calder House (wymawiają Kolderhaus). Jest to stary manoir, *otoczony ogromnym parkiem ze stuletniemi drzewami, widać tylko trawniki, drzewa, góry i niebo; mury grube na osiem stóp, galerje na wszystkie strony, korytarze czarne ze staremi bez liku portretami ancetrów, rozmaitych kolorów, z rozmaitemi kostiumami, to szkockiemi, to ze zbrojami, to z robronami, niczego nie brak dla imaginacji. Jest nawet jakaś czerwona czapeczka, która się pokazuje, ale jeszcze jej nie widziałem. Patrzyłem wczoraj po wszystkich portretach, alem jeszcze nie zobaczył, który to może być, co się po zamku tłucze. Mój pokój, który zamieszkuję, ma najpiękniejszy widok jak tylko można... Jestem oddalony od innych, ażebym mógł sobie*

grać i robić co mi się podoba, nie żenowany, bo u nich pierwsza rzecz dla gościa, żeby w niczem go nie żenować. Zastałem w moim apartamencie fortepian Broadwooda; w salonie jest fortepian Pleyela, który miss Stirling z sobą przywiozła.

W Anglji la vie de château *jest bardzo przyjemna. Zawsze się codzień ludzi zjeżdża na kilka dni. Urządzenia najeleganciejsze, bibljoteki, konie, powozy na rozkazy, liczna usługa i t. d. Zwykle schodzą się tutaj na* lunch, *po ś. p. Dmuszewskiego ortografji* loncz, *o 2-giej, (każdy u siebie śniadanie je kiedy chce, jak chce) a na obiad o 7-mej. Wieczorem siedzą ile chcą, jak chcą. Wieczorami staremu lordowi gram szkockie pieśni, które on poczciwy dośpiewywa i jak może mi po francusku swoje uczucia wynurza. Chociaż wszyscy w wyższem towarzystwie, a szczególniej damy po francusku mówią, jednakże ogólna rozmowa zwykle się po angielsku sunie, a wtenczas żałuję, że nie umiem, a uczyć się ani czasu ani ochoty ku temu. Zresztą rozumiem potoczne rzeczy, sprzedać się nie dam i z głodu nie umrę ale to nie dosyć.*

List ten który od 10 albo więcej dni piszę, dziś już koniecznie chcę skończyć, bo mi Was żal, że tak dawno nic ode mnie nie macie...

Na samym początku oktobra w Edynburgu chcą żebym grał. Jeżeli mi to co przynieść może i będę miał siły,

tak chętnie zrobię, bo nie wiedzieć, jak się tej zimy obrócić. Mam moje mieszkanie w Paryżu, jak zwykle, ale nie wiem jak się tam obróci. W Londynie wielu mnie chce zatrzymać na zimę mimo klimatu. Mnie się chce czego innego, ale sam nie wiem czego. Zobaczę w oktobrze stosownie do zdrowia i worka, dlatego ze sto więcej gwinei w kieszeni nie zawadzi. Żeby ten Londyn nie był taki czarny, a ludzie nie tacy ciężcy i odoru węglanego ani mgły nie było, tobym już i po angielsku się nauczył. Ale ci Anglicy tacy różni od Francuzów, do których jak do swoich przylgnąłem; tak wszystko tylko na funty biorą, sztuki dlatego lubią, że to lux, *poczciwe serca, ale takie oryginały, że rozumiem, jak można samemu tutaj zesztywnieć, albo się w machinę obrócić.*

Żebym był młodszy, tobym się może i na machinę puścił, dawałbym koncerta po wszystkich kątach i wygrywał najbezgustowniejsze awantury (byle za pieniądze!); ale teraz już trudno zaczynać z siebie machinę robić. Tu pogoda dziś, więc nic mi do głowy suchego nie wchodzi. Park przecudownie oświecony — rano — i zapominam o wszystkiem — jestem z Wami, dobrze mi, i dopiero wtenczas o zimie będę myślał kiedy koniecznie trzeba będzie. Teraz was ściskam serdecznie.

Ch.

Jak to dobrze, że Ludwika na wsi! I Mameczka i Izabelisko powinny także się przejechać mimo ogrodu, w którym widzę wszystkie kwiaty, owoce i sztachety. Bartka całuję i całuję, jakoteż Kalasantego. Ludwice imienin życzyć nie będę, bo niema nawet o czem mówić. Niech was Pan Bóg chowa i błogosławi, chroni i zdrowia daje, dzieciakom na pociechę rosnąć pozwala.

Piszcie do mnie pod zwykłym adresem do Paryża, bo mi stamtąd odeślą wasz list, gdziekolwiek się obrócę. Zawsze wam napiszę, gdzie myślę zimę przepędzić.

Ale nie został Szopen w Londynie na zimę. Za trudno już było schorowanemu człowiekowi przyzwyczaić się do nowych warunków życia. Nie mógł się oswoić z londyńskim powietrzem i londyńskim towarzystwem. Do Paryża spieszył jak do drugiej ojczyzny, a zwykłe złudzenia suchotników sprawiały, iż myślał, że zdrowie czeka także na niego w nadsekwańskim mieście. Odnalazł starych znajomych, opiekę przyjaciół i przyjaciółek, które jak pani Delfina Potocka, albo jak oddana Marcelina Czartoryska, pielęgnowały go i pomagały. Pani Erskine i panna Stirling także przybyły do Paryża i dogadzały mu jak tylko mogły. Lekcyj nie mógł już udzielać, stan zdrowia na to nie pozwalał, panie więc

„szkockie" przychodziły mu z delikatną pomocą materialną. Nie komponował już Szopen wtedy wcale i nie mógł się przymusić do nakreślenia choćby kilku taktów. Twórcze zdolności pierwsze opuściły to ciało, w którym się ledwie duch kołatał.

„Staję się coraz głupszy — pisze do swojej francuskiej przyjaciółki, ale żarty się zawsze trzymają go jeszcze: — *przypisuję to ogłupienie temu, że piję codzień zrana kakao, a nie moją dawną kawę. Niech pani nigdy nie pije kakao i niech pani nigdy nie daje pić go swoim przyjaciołom, zwłaszcza tym, którzy z panią korespondują. Postaram się, aby następny list pisać po jakiejś bardziej duchowej ingrediencji, jaką mi zapisują lekarze...*"

A latem 1849 już jest tak źle, iż pisze w te słowa do ukochanej siostry Ludwiki:

Moje Życie, jeżeli możecie, to przyjedźcie. Słaby jestem i żadne doktory mi tak, jak Wy nie pomogą. Jeżeli pieniędzy Wam brak, to pożyczcie; jeżeli będę lepiej, to łatwo zarobię i oddam temu, kto wam pożyczy, ale teraz za goły jestem, żeby wam posyłać. Moje mieszkanie tutaj w Chaillot jest dosyć duże, żeby was choć z dwojgiem dzieci przyjąć. Ludka mała by sprofitowała ze wszech względów. Kalasanty ojciec — biegałby cały dzień — wystawa płodów obok — sło-

wem miałby więcej jak dawniej wolnego dla siebie czasu, bom słabszy i więcej z Ludwiką w domu siedzieć będę.

Moi przyjaciele i dobrze życzące mnie osoby znajdują najlepszem dla mnie lekarstwem przybycie tutaj Ludwiki, jak to z listu p. Obreskow zapewne Ludwika się dowie. Więc starajcie się o paszport. Jak mi dziś osoby, jedna z północy, druga z południa mówiły, osoby, które Ludwiki nie znają — powiedziały, że to nietylko mnie zdrowo ale i siostrze zdrowo być powinno. Więc przywieźcie Matko Ludwiko i córko Ludwiko, naparstek i druty, dam wam chustki do znaczenia, i pończochy do robienia, i spędzicie tu na świeżem powietrzu parę miesięcy ze starym bratem i wujem. Teraz też podróż łatwiejsza. Dużo pakietów nie trzeba. Tutaj się, jak będziemy mogli, tanio obywali. Mieszkanie i jedzenie znajdziecie. Nawet jeżeli czasem Kalasantemu z Elizejskich Pól daleko do miasta, będzie mógł na Square d'Orléans w mojem stać mieszkaniu. Omnibusy chodzą od samego squaru aż do samych drzwi tutaj. Nie wiem sam dlaczego tak mi się Ludwiki chce, ale to tak jakżebym był przy nadziei. Zaręczam, że dla niej także to dobrze będzie. Mam nadzieję, że konsyljum familijne mi ją przyśle; kto wie, czy jej nie odprowadzę, jeżeli pozdrowieję. Dopierobyśmy się wszyscy uścisnęli, jak to już pisałem, tylko jeszcze bez peruk i z zębami. Zawsze to żona mężowi posłuszeństwo winna, więc to męża trzeba prosić o to, żeby żonę przywiózł. Więc ja go bardzo o to proszę, a jeżeli rozważy, to pewnie ani jej ani mnie większej nie zrobi przyjemności i użyteczności, nawet dzieciom, jeżeli które przywiezie (o córeczce ani wątpię). Pieniądze się ekspensują to prawda, ale nie można lepiej użyć, ani też taniej wojażować...

Dziś piękna pogoda, siedzę w salonie i admiruję mój widok na cały Paryż: wieżę, Tullerje, Izbę, St. Germain l'Auxerrois, St. Etienne du Mont, Notre Dame, Panteon, St. Sulpice, Val-de-Grâce, Inwalidy, z pięciu okien i same ogrody między niemi. Zobaczycie jak przyjedziecie. Teraz o paszport i o pieniądze ruszcie się prędko a powoli. Napiszcie mi zaraz słowo. Wszakże i cyprysy mają swe kaprysy: mój kaprys dziś jest Was tu widzieć. Może Pan Bóg pozwoli, że będzie dobrze, a jeżeli Pan Bóg nie da, to przynajmniej róbcie, jak żeby Pan Bóg miał pozwolić. Dobrej nadziei jestem, bo rzadko wiele żądam i od tego byłbym się wstrzymał, gdybym nie był pusowany przez wszystkich, którzy mnie dobrze życzą. Rusz się, panie Kalasanty, to Ci dam doskonałe cygaro duże za to; znam kogoś co sławne pali, NB. w ogrodzie. Mam nadzieję, że mój list na imieniny Mameczki doszedł i mnie nie brakowało. Nie chce mi się myśleć o tem wszystkiem, bo to aż gorączka

bierze, a nie mam gorączki z łaski Pana Boga, co wszystkich zwyczajnych doktorów derutuje i gniewa.

Wasz brat przywiązany, ale słaby

Ch.

W pięknym tym liście podziwiać należy delikatność z jaką Szopen podaje rodzinie wiadomość o złym stanie zdrowia, nie strasząc ich, a jednocześnie nalegając, jak nigdy, na przyjazd ukochanej siostry. Toteż nie będziemy się chyba dziwić, aczkolwiek nie była to na owe czasy łatwa podróż, że pani Ludwika Jędrzejewiczowa pospieszyła czym prędzej do Paryża, zabierając córkę i męża, który jednak wkrótce do domu powrócił.

„Fryderyk Chopin — pisze Cyprian Norwid — *mieszkał przy ulicy Chaillot, co od pól Elizejskich w górę idąc w lewym rzędzie domów na pierwszem piętrze mieszkania ma z oknami na ogrody i Panteonu kopułę i cały Paryż... Jedyny punkt z którego napotykają się widoki cokolwiek zbliżone do tych, które w Rzymie napotykasz. Także i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim — którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian bynajmniej wykwintny do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony, jak fortepiany modne, ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech,*

jakiego zdaje się już mało kto w ozdobnem używa mieszkaniu. W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował po schodach jak mógł i do bulońskiego lasku jeździł, skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mógł. — Tak jadałem z nim i wyjeżdżałem po wielekroć i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał wtedy, po drodze wstąpiliśmy, nie wchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas synek poety na trawniku się bawił...

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu, a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze jak się ma, i że siostra jego z Polski przybyła. — Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem — służąca francuska powiada mi, że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem. — Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca, za mną, mówiąc: iż Chopin dowiedziawszy się, kto był, prosi mię — że jednem słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju, obok salonu będącego, gdzie sypiał Chopin, bardzo wdzięczny, że widzieć mnie chciał i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku, z nabrzmiałemi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, odrazu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna...

On w cieniu głębokiego łóżka z firankami na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo, tak jak zawsze w najpowszedniejszego życia poruszeniach mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska sobie za religję uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej — albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragedjach francuskich, które lubo nie są do starożytnego świata przez ich teoretyczną ogładę podobne; genjusz wszelako takiej Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasycznić... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek go zastałem... Owóż — przerywanym głosem, dla kaszlu i dławienia, wyrzucać mi począł że tak dawno go nie widziałem, — potem żartował coś i prześladować mię chciał najmniej o mistyczne kierunki, co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem, — potem z siostrą jego mówiłem — potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc żegnałem go, a on ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: ...„wynoszę się!"... i począł kaszlać, co jak mówił usłyszawszy, a wiedząc, że nerwom jego dobrze się robiło, silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramię, rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej:

„...wynosisz się tak co rok... a przecież chwała Bogu, oglądamy cię przy życiu."

A Chopin na to, kończąc przerwane mu kaszlem słowa rzekł: „mówię Ci, że wynoszę się z mieszkania tego na Plac Vendôme"...

To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Vendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem..."

Słabł w owym czasie i zapadał na zdrowiu coraz bardziej. Śmiertelna choroba niszczyła go. O ostatnich momentach jego życia mamy także wzruszającą relację księdza Aleksandra Jełowickiego, który Szopena na śmierć przygotował i udzielił mu ostatnich sakramentów.

W nocy z 16 na 17 października 1849 umarł Szopen. Otaczały go siostra z siostrzenicą, pani Marcelina z Radziwiłłów Czartoryska, pani Delfina Potocka, malarz Teofil Kwiatkowski i inni. Nikogo obcego przy nim nie było, umarł wśród swoich — nie wśród obcych, czego się kiedyś tak obawiał.

Pogrzeb Szopena, który się odbył w jakiś czas po jego śmierci, był dla Paryża i dla paryskich artystów wielkim obrządkiem, w którym smutek łączył się z powagą. W kościele wykonano prócz utworów zmarłego

Requiem Mozarta, ukochanego kompozytora Szopena. A wykonanie tak było wspaniałe, że podług słów świadka pogrzebu, znakomitego poety francuskiego Teofila Gautier, duch Mozarta zdawał się unosić nad zebranymi wraz z duszą równie młodo zmarłego Fryderyka. Orszakowi żałobnemu przewodniczyli książę Adam Czartoryski wiekowy przedstawiciel Polski — i Meyerbeer — przedstawiciel królestwa sztuki, która traciła jednego z najwybitniejszych swych synów. Przy karawanie zaś postępowali malarz Delacroix, muzycy Pleyel i Franchomme i Aleksander Czartoryski, mąż księżnej Marceliny.

Z wielkimi honorami odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku, na cmentarz *Père Lachaise* wielkiego syna nieistniejącej wówczas ojczyzny. A serce jego wierna siostra Ludwika przewiozła do Warszawy, gdzie je potajemnie wmurowano w mury kościoła Świętego Krzyża, i przykryto tablicą pamiątkową. Dopiero, kiedy powstała niepodległa Polska, można było obok dawnej tablicy, umieścić nową z napisem: „Tutaj spoczywa serce Fryderyka Szopena".

„Ibi cor meum ubi patria mea".

Taki jest zewnętrzny przebieg życia Fryderyka Szopena. Życie to nie było obfite w niezwykłe wypadki lub zdarzenia. Przygodami i odkryciami jego były te nadzwyczajne utwory, które naprzód spod jego palców się rodziły, potem zapisywane jego ręką — stanowiły najpełniejsze urzeczywistnienie jego marzeń.

Twórczość Fryderyka Szopena ma wszelkie znamiona twórczości genialnej i tak jest oceniana przez wszystkich poważnych badaczy i muzykologów w kraju i za granicą. Cała jednak miara wielkości jego może być dopiero doceniona przez Polaka, który zna elementy z jakich ta twórczość wychodziła i może dokładniej zorientować się w drogach jakie prowadziły tego genialnego artystę od kolebki, stojącej w mazowieckiej wiosce, do grobu, odwiedzanego przez wielkich tego świata. Droga to niezwykła, a wypełniona pragnieniem wypowiedzenia wszystkiego co nasze narodowe, dźwiękiem zrozumiałym dla całej Europy.

Wielkość Szopena — stosownie do słów Goethego — poznać można już w jego ograniczeniu się. Wbrew radom przyjaciół i ludzi mniej orientujących się w wiecznych wartościach muzyki, twórczość swą ograniczył Szopen prawie wyłącznie do dziedziny fortepianu. Rzeczy, które komponował nie dla samego fortepianu nie mają w jego twórczości większego znaczenia. (Są to pieśni, *trio* na skrzypce, fortepian i wiolonczelę, sonata na wiolonczelę itd.). We wszystkich kompozycjach, które stanowią istotny rdzeń spadku Szopena ograniczył się do tego samotnego instrumentu. Na orkiestrę nie komponował wcale.

Wśród dzieł na pierwszy plan wysuwają się te utwory, których formę i rytm Szopen bezpośrednio z tańców narodowych zaczerpnął. Są to mianowicie „Polonezy" i „Mazurki".

Niewyczerpaną skarbnicą prawdziwych pereł, w której coraz nowe studia coraz to nowe odkrywają wartości — jest zbiór mazurków Szopena. W tych pięćdziesięciu kilku drobnych utworach fortepianowych muzyk polski zawarł całe bogactwo swojej duszy, całe swe przywiązanie do ojczyzny, wreszcie całe bogactwo i wyrafinowanie swojego umysłu, dzięki czemu znajdujemy w nich niezwykłą obfitość nie spotykanych dotychczas pomysłów muzycznych. Wreszcie w mazurkach Szopena zawiera się także wspomnienie wszystkich wędrówek po Polsce, wspomnienia wiejskiej piosenki i wiejskiego tańca, takich jakie spotykały Szopena na jego polnych drogach.

Ten dział twórczości Szopena jest najbardziej charakterystycznym, najbogatszym i najbardziej polskim. Nawet obcy to odczuwają niewątpliwie, i taki badacz niemiecki, jak Leichtentritt, gruntownie muzykę Szopena przestudiowawszy i głęboko pokochawszy, tak o mazurkach powiada:

„Mazurek bardziej niż polonez jest właściwym tańcem narodowym polskim. Spotykamy go w rozmaitych odmianach. Pod Warszawą jest to taniec na trzy ćwierci lub trzy ósme z akcentem na trzy. Kujawiak jest to chłopski taniec czasem o smutnej melodii i powolnym tempie, często zjawia się tutaj minor, a starodawność jego widać po kościelnych tonacjach jakie się tu spotyka. Kujawiak często przechodzi w szybkiego oberka. Wszystkie te rodzaje spotykamy w chopinowskich mazurkach.

Jeżeli Chopin w swoich walcach prawie stale przebywa w salonie, jeżeli polonezy noszą raczej arystokratyczny charakter, to przeciwnie w mazurkach panuje charakter wiejski. W nich przekształcone jest to artystycznie, co Chopin na swoich wiejskich podsłuchał wyprawach. Widzi się tańczących chłopów, sceny weselne,

zabawne (jak np. w mazurze op. 17 nr. 4, którego Polacy nazywają Żydkiem) idyliczność i erotyczność, pejzaże, wszystko tam można odnaleźć. Słychać tam pastuszą fujarkę, kobzę, skrzypki. Nad niektórymi z nich wieje jak gdyby świeży powiew poranku, w innych czuć zadymioną karczmę. Znaleźć tu jednak możemy także i eleganckiego mazura z jego salonową werwą. Wtedy słyszymy, jak to Liszt wyraził „brzęk szabel", albo „lekki powiew tiulu i gazy, szmer wachlarzy, szelest klejnotów". Nie zawsze brzmi w tych dźwiękach radość. Niektóre są napełnione żałosnym humorem, inne są głębokie i poważne, nawet smutne i przybite, niektóre gorączkowo podniecone, mięszają się w nich oddalone odgłosy bitw, lekkie hasła trąb, przytłumiony werbel, jak gdyby dolatujący z oddali. W innych znowu panuje ochota do bitwy, podnoszą się one wspaniałym wzmocnieniem tonów. We wszystkich zaś Chopin wyzyskał pikantną rytmikę polskiego tańca i pomysłowo zużył ją we właściwy sobie sposób.

Ze względu na swoją rytmikę i harmonikę, ze względu na głębię melodyjnej pomysłowości, mazurki należą do najbogatszych i najwartościowszych utworów Chopina. Aby je właściwie grywać, musi się dobrze poznać ludową muzykę polską, i dlatego zdarza się, że nawet dobrzy pianiści innych narodów, po prostu nie wiedzą co mają począć z mazurkami".

Jeżeli cudzoziemcy tak o mazurkach piszą, to jasne jest, że i dla nas stanowić one winny skarb specjalny, arkę przymierza przechowywaną ze szczególnym pietyzmem.

Trzeba jednakże zwrócić przy tym uwagę na to, że Szopen o ile używał rytmów naszych tańców ludowych, komponując wśród swoich mazurków i kujawiaki, i oberki, i prawdziwe mazowieckie tańce, to jednak w jego utworach nigdy nie ma bezpośredniego opracowania tego lub innego tematu ludowego. Spotkanie takiej prawdziwie ludowej melodii jak wspomniana piosnka „Tam na błoniu" wśród mazurków Szopena należy do zupełnych wyjątków. Wszystko co Szopen słyszał na wsi czy w miasteczku, wchłonął swoim wrażliwym słuchem i przechowywał starannie w pamięci. To jednak co komponował, nigdy nie było cytatem lub powtórzeniem zasłyszanych tonów. Wszystko Szopen wymyślał na nowo: przekomponowywał. Nasiąknął polskością z tych w młodości zebranych materiałów i z niej snuł własny wątek, który nawet dla cudzoziemca gra echem naszych pól i chat.

Jeżeli w mazurkach najróżnorodniej i najróżnostronniej objawił się geniusz Szopena, a z tym razem geniusz polskiej rasy, to wielkość Polski minionej z jej tragicznym zagadnieniem istnienia wyraził Szopen najbardziej malowniczo w swoich polonezach.

Ten cykl obrazów historycznych, mający w sobie oddech obrazów Matejki — zamyka wielki tryptyk trzech polonezów: as-dur, fis-moll (nazwy te oznaczają tonacje w jakich te dzieła zostały napisane) oraz ostatni Polonez-Fantazja. Polonez as-dur to obraz wspaniałego pochodu, arcypolskiego tańca — jak to w swojej akwareli wyobraził Teofil Kwiatkowski — przerwany nalotem konnicy, słynnymi oktawami w basie, które stanowią kulminacyjny moment tego na wskróś malarskiego utworu; polonez fis-moll, bardziej tragiczny, bardziej ponury, — jest jak gdyby obrazem jakiejś opowieści minionej, pełnej ech niedoli, wizją walki i upadku, w połowie przerwany idylicznym mazurkiem, którego tony brzmią jak fujarka na pobojowisku; trzecim wielkim polonezem Szopena jest Polonez-Fantazja, który niektórzy pisarze uważają za ilustrację gry Jankiela w „Panu Tadeuszu". Jest to oczywiście przypuszczenie dowolne. Szopen był zbyt wielkim muzykiem, aby dla swych utworów potrzebował podniet czysto literackich. Jego Polonez-Fantazja jest nie tylko samodzielnym utworem muzycznym, ale nawet w dziele tym Szopen poszedł bardzo daleko naprzód w swoich inowacjach melodyjnych i harmonicznych, tak że „Polonez-Fantazję" można uważać za punkt, z którego wyszedł Ryszard Wagner, a za nim cała muzyka współczesna.

Mniej związane z polskim elementem ludowym, z polskim tańcem, są inne wielkie utwory Szopena, jak np. cztery ballady i barcarolla. Nie ma w nich bezpośrednich reminiscencji z muzyki ludowej polskiej ani nie ma rytmów przypominających nasze tańce. Jednakże każdy takt tych wspaniałych, potężnych poematów fortepianowych świadczy o tym, że pisał je autor mazurków i polonezów.

Wiele jeszcze innych utworów pozostawił po sobie Szopen. Krótkie jego życie było bardzo pracowite i dorobek jego pokaźny. Są tam i piękne, poetyczne nokturny, eleganckie walce, pełne wdzięku improwizacje („Impromptus"). Jednym z najwartościowszych dzieł są przywiezione z Majorki *Preludia.* Są to drobne utwory w liczbie 24-ch, przeważnie krótkie obrazki, pełne poezji i bogatej inwencji. Fantastyczność kontrastów, igranie formami, właściwe preludiom, tak charakteryzuje nam jeden z badaczy jego twórczości:

„Ekstatyczność, idyliczność, niesamowite wizje nocne, mistyczność, kapryśność, wdzięk, patos, nastrój pejzażowy, wściekłość, rozpacz, zwątpienie, trwoga, nastroje kościelne, religijne, delikatne poematy miłosne, bohaterstwo — dla wszystkiego znajduje tu Szopen zwięzły, dosadny wyraz. Styl fortepianowy odznacza się najwyższymi cechami mistrzostwa."

Obok *Preludiów* postawić należy *Etiudy* Szopena.

Szopen pierwszy stworzył ten rodzaj formy muzycznej. Z etiudy — to znaczy z kawałka przeznaczonego do ćwiczenia palców i ręki — stworzył prawdziwe dzieło sztuki i postawił ten rodzaj tak wysoko, że najznakomitsi kompozytorowie XIX i XX wieku, którzy się specjalnie w tym kierunku rozmiłowali, jednak Szopena nie prześcignęli, chociaż mamy świetne i piękne etiudy Liszta, Skrjabina, Debussy'ego i Szymanowskiego.

W etiudach Szopena dochodzi do głosu najbardziej to wszystko, co jest buntem i siłą. Jeżeli jeszcze gdzieś błąkają się legendy o chorobliwości muzyki Szopena (bajeczkę tę słyszało się dawniej dość często) to tej legendzie przeciwstawiają się całą siłą te nieporównane *Etiudy*. W nich skupił Szopen całą moc swego geniuszu, — i mimo, że ma do rozporządzenia tylko fortepian i dwie ręce ludzkie, potrafi nami wstrząsnąć tak głęboko i roztoczyć przed nami takie morze dźwięków jak gdyby panował nad największą orkiestrą. Jedna z etiud — w tonacji c-moll — zwana rewolucyjną, napisana w Sztuttgardzie pod wrażeniem wieści o wzięciu Warszawy, jest obrazem bolesnych zmagań Szopena, które uwiecznił on tak przejmująco w cytowanym przez nas dzienniczku. Etiudy a-moll i c-moll kończące drugi kajet, to są największe poematy siły i grozy jakie zna literatura fortepianowa.

Zbliżone do etiud swoją rozpętaną mocą, szyderstwem i ironią są *Scherza*, cztery duże utwory — zupełnie do innych żartobliwych *scherz*, które komponowali różni kompozytorzy, niepodobne. Nie mają one w sobie nic z lekkiego żartu, są burzliwe i niespokojne — jedynie w środkowych częściach nieco się uspokajają. Pierwsze z nich w tej spokojnej części przynosi słodką i łagodną melodię kolędy „Lulajże Jezuniu" jak dalekie wspomnienie szczęśliwych dni Bożego Narodzenia, spędzanego w ojczyźnie.

Jednymi z najwyższych osiągnięć szopenowskiego geniuszu są jego dwie *Sonaty*. Nie bardzo uznawane przez współczesnych, dla potomności stanowią prawdziwą kopalnię wrażeń muzycznych i wzbudzają podziw potęgą i obfitością swych pomysłów. Z tych dłuższa sonata h-moll, może najczystszy muzycznie utwór Szopena, zawiera w sobie przebogaty i umiejętnie wyzyskany materiał, umiejętność kontrastowania poszczególnych części, bogactwo inwencji i niepoddawanie się żadnym spoza muzyki idącym pobudkom. Sonata zaś b-moll bardziej liryczna, bolesna, pełna wypowiedzi rozpaczy i tęsknoty. Zawiera ona między innymi jako składową część swoją, marsza żałobnego, jeden z najpopularniejszych utworów Szopena, który jest jednak opacznie rozumiany i niepotrzebnie osobno grywany. Znaczenie prawdziwe tego utworu poznajemy

dopiero, kiedy go słyszymy wykonany wraz z innymi częściami sonaty, jako nierozłączną część tego wielkiego i wspaniałego utworu. Dramatyczna walka, bieg na spienionym rumaku pierwszej części, gwałtowne szyderstwo i wybuchowa siła drugiej, uspokajają się dopiero w tym marszu i przezeń dramatycznego nabierają wyrazu. Po marszu następuje *Finał*, jeden z najdziwniejszych utworów muzycznych, gdzie jak powiedział sam Szopen „obie ręce unisono ogadują po marszu". Finał ten sprawia wrażenie jakiegoś wiatru, powiewu nadziemskiego i niesamowitego. Pomimo najczystszej muzyki jaką reprezentuje ta sonata, nie ulega wątpliwości, iż zawiera ona treść uczuciową, głęboką, romantyczną i najbardziej do utworów poetyckich naszych wielkich romantyków zbliżoną. Że w tym utworze Szopen płacze nad ojczyzną — jak Mickiewicz w *Dziadach* czy Słowacki w *Lilli Wenedzie* — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jest to przez swą wartość artystyczną zarówno jak wartość emocjonalną jeden z najczystszych i najpiękniejszych klejnotów, jakie Szopen ofiarował Polsce.

Nie miejsce w tej książce na szczegółową analizę muzycznych dzieł Szopena. Zresztą pod tym względem posiadamy doskonałe dzieła współczesnych pisarzy i muzykologów. O Szopenie pięknie pisali Karol Szymanowski, Henryk Opieński, Zdzisław Jachimecki,

Adolf Chybiński, Ludwik Bronarski — że wymienię tylko najwybitniejszych Polaków; prócz tego istnieje wiele prac autorów francuskich, niemieckich, włoskich, angielskich i amerykańskich, którzy poświęcili badaniom nad życiem i dziełem Szopena niejedno wartościowe dzieło. Kto się tą sprawą interesuje może czerpać z nader obfitej biblioteki prac o Szopenie. Ciekawym również wydawnictwem jest książka p. Binentala w kilku ogłoszona językach. Zawiera ona publikację wielu interesujących dokumentów dotyczących Szopena i jego życia w Polsce i Paryżu, a także reprodukcje rysunków i portretów niedostępnych szerszemu ogółowi.

Wśród wszystkich wielkich ludzi, jakimi tak obficie obdarzył nas wiek XIX w pierwszej swej połowie, Szopen może jest nam najbliższy. Czcimy w nim tę prostą i głęboką ludzkość, która stawia prawie na równi z nami jego, jako człowieka, i czując wielki szacunek dla jego sztuki, czujemy jednocześnie serdeczną miłość dla niego samego, jak gdyby był naszym bliskim krewnym czy dobrym przyjacielem.

Najlepszym materiałem do zawarcia kontaktu z Szopenem-człowiekiem są jego listy. Jeżeli w swoich utworach muzycznych porusza on w nas najgłębsze struny i wstrząsa tak, że muzyka jego staje się dla nas wielkim przeżyciem, o tyle w swoich listach zbliża się ku nam jako człowiek wytworny, dowcipny, samotny, smutny i szczerze potrafiący się przywiązać. Listy Słowackiego są wspaniałymi dziełami sztuki, bardzo poruszającymi przez swą poezję i uczucie — a jednak raczej są dla nas dalekie i jak gdyby pisane zupełnie w innej epoce: dalszej nam i bardziej obcej. Podczas kiedy listy Fryderyka z ich dowcipami, z ich charakterystyką

dosadną i zabawną spotykanych ludzi, z całą atmosferą warszawską czy paryską jaką w sobie zawierają i do której umiejętnie wprowadzają — są nam zupełnie bliskie w czasie i współczesne.

W listach tych występują wyraźnie wszystkie dodatnie i ujemne cechy charakteru Szopena. Dają one nam pojęcie o tym, czym był wdzięk i humor Szopena. Widzimy w nich łatwo owego młodzieńca, który w dwa tygodnie potrafił podbić obcy i nieufny Wiedeń, który w krótkim czasie stał się jedną z największych znakomitości Paryża — i z równą naiwnością dziwił się tym sukcesom i donosił o nich rodzinie, jak wtedy, kiedy jako kilkuletni chłopiec, będący centrum uwagi całego towarzystwa, powiedział po powrocie matce, że wszyscy patrzyli na jego nowy kołnierzyk! Widzimy go na wsi u przyjaciół, jak wydaje w czasie wakacyj humorystyczne pisemka (jak wielu z nas) i komunikuje w nich zabawnym stylem o zaginięciu kota czy też o konnej przejażdżce, w której kierował nie jeździec ale wierzchowiec. Albo znowuż na przechadzce w lesie czy w ogrodzie, zadumanego pod drzewem: „ta brzoza pod twoim oknem — pisze do Tytusa — nie może mi wyjść z pamięci...“ To znowuż w Berlinie znajduje się przypadkiem na jakimś zjeździe uczonych i bystrym okiem zbiera wzorki i typki, dosadnym piórem charakteryzuje to towarzystwo uczone w listach, i, co więcej, chwyta ołó-

wek, aby rysy niektórych zabawnych profesorów uwiecznić w karykaturze...

Późniejsze zawody i tęsknoty przyćmiły w Szopenie ten iskrzący się humor, iście warszawski; a jednak jak już to mówiliśmy, pani Sand w swoich pamiętnikach przekazuje, że ilekroć w jej domu młodzież urządzała przedstawienia amatorskie i ulubione podówczas modne szarady, widowiska naprędce, tyle razy nie mogło się to obyć bez Szopena. Towarzyszył on przedstawieniom improwizowaną muzyką, rytmami i modulacjami, poddając aktorom mimikę i ruchy, pobudzając do wesołego tańca. Czasami nawet sam się przebierał i odtwarzał jakąś postać lub naśladował jakąś znakomitszą osobistość. Szczególniej zabawnie imitował pianistów i ich sposób grania, jak np. grę Liszta, Kalkbrennera czy też Thalberga.

Ale potrafił się także, zwłaszcza w późniejszych latach, otoczyć takim chłodem, że trudno się było do niego zbliżyć. Wydawał się wówczas zapiętym na wszystkie guziki sztywnym arystokratą, aż to pobudzało do niechętnych o nim sądów. Zazwyczaj był takim w stosunku do natrętów, których nie brakło wokół wielkiego artysty. Chłodny i sarkastyczny stawał się także dla tych, którzy go czymś urazili. A urazić go można było łatwo w dwóch materiach: gdy tylko zadraśnięto jego miłość do kraju, lub jego sztukę.

Kiedy jeden ze sławnych wtedy pianistów odegrał w jego obecności jeden z nokturnów, zaopatrzywszy wykonywany utwór w parę własnych dodatków, Szopen powinszował artyście pięknego wykonania, a potem zimno zapytał: „A czyj to utwór grał pan przed chwilą?“

Zarówno ten humor, czasami hałaśliwy i sztuczny, jak i ten chłód w jaki się Szopen jak w draperie płaszcza zawijał — służyły Szopenowi do zagrodzenia drogi każdemu śmielszemu a nieproszonemu oku, które by chciało przeniknąć do głębi jego duszy i ujrzeć, co się w niej dzieje. Ale do tych głębi nie tylko nie wpuszczał Szopen żadnego natręta — czemu się trudno jest dziwić — ale i nie otwierał jej dla najbliższych i najukochańszych. Jego listy nie dają żadnego pod tym względem materiału: ani o swoich przeżyciach, ani o uczuciach nic nie pisze. W późniejszych czasach nie pisze nawet nigdy o swoich utworach. Owszem, wymienia je z tytułu, wymienia ceny za jakie chce je sprzedać wydawcy, rzadko mówi o tym kiedy powstały, ale o samym twórczym procesie, — który miał być bardzo trudny, (o ile mamy wierzyć pani Sand, która go z bliska obserwowała) — o uczuciach, które procesowi temu towarzyszyły, o własnym stosunku do niektórych dzieł nie wspomina ani słowem.

W dziedzinie swoich uczuć króluje — w zupełnej sa-

motności. Przypuszczać należy, że w sercu jego niedostępnym panował smutek i pustka. Bez domu, bez ojczyzny, bez rodziny, bez najdroższych bliskich gorzkniał i wiądł. Raniły go kanciaste formy współżycia z ludźmi, z dłuższej przyjaźni z panią George Sand wyniósł głębokie rozczarowanie. Takie wewnętrzne krwawienie stanowiło zasadniczy stan jego przemęczonego ducha. Z tego wypływał ów słynny „żal" przez wielu krytyków uważany za podstawowy ton muzyki Szopena.

Ale obok „żalu" (i ponad nim) istniały jakieś źródła mocy! Źródła te istniały w dwóch ojczyznach Szopena: w ziemskiej, Polsce, i w niebieskiej: dziedzinie sztuki. Mylą się ci, którzy nie dostrzegają w dziele Szopena oprócz żalu, także ożywczej mocy. Ze swej wiary w Polskę i z głębokiego przekonania o wartości swojego powołania artysty, czerpał Szopen siły, które go podtrzymywały w rozczarowaniach, smutkach i chorobach. Ta siła i ta wiara odżyła w jego najpotężniejszych utworach i do dziś dnia nas siłą i wiarą przenika. I dziwić się tylko można jak w tak słabym i znękanym tyloma biedami ciele — mogło się pomieścić tyle potęgi. Dość wysłuchać jego polonezów czy etiud, aby się nad tym zastanowić. Ci którzy widzieli tylko smutek jego nokturnów lub mazurków nie widzą jakim jest prawdziwy, potężny Szopen.

A przywiązanie do ziemskiej ojczyzny, do Polski i do

Warszawy zawsze było jednakie w tym człowieku, czy towarzyszyły mu smutki, czy też sukcesy i powodzenia. Pod koniec życia najradośniejszymi dla niego chwilami są rozmowy z rodakami, odnawianie wspomnień z kraju, marzenia o powrocie do domu. Żaden rodak, który puka do jego drzwi nie odejdzie bez moralnej pociechy, a często i nie bez materialnej pomocy. Śmieje się Szopen z tych wszystkich biedaków, którzy pożyczali od niego pieniędzy „na wieczne nieoddanie" — ale nie ma do nich żadnego żalu czy urazy. A tym co przyjeżdżają z Warszawy, i przywożą ukłony od jego „mameczki" i „dzieci" nieba by rad był przychylić.

Ostatni raz zasiada publicznie do fortepianu w Londynie, na balu danym na rzecz emigrantów polskich. A gra już tak cicho i delikatnie, iż występ jego ginie całkiem w rozgwarze przybywających gości. Sprawozdawcy nawet nie zauważyli, że na tej zabawie grał sam wielki Szopen. Wiele ten występ kosztował słabego artystę! Taki był jego ostatni koncert.

Wśród żalu i żalów, wśród zmęczenia i zniechęcenia zapewne jednak źródłem pociechy i siły była wielka wiara Szopena w swój naród i w jego przeznaczenie. Nie gada o tym dużo — lecz wierzy i wie. I z wiary tej czerpie moc, która nas w najsilniejszych jego utworach uderza, moc piorunową sonat i polonezów. Nie ma tu ani śladu jakiejkolwiek dezercji moralnej. A źródłem

tej siły i wiary jest przekonanie, któremu dał wyraz w jednym ze swych listów do przyjaciela:

„Nie obejdzie się bez strasznych rzeczy — pisze wśród burzliwych wypadków 1848 roku, zżymając się niecierpliwie — *ale na końcu tego wszystkiego jest Polska, świetna, duża, słowem Polska. Więc mimo niecierpliwości naszej czekajmy, aż się dobrze karty pomieszają, żeby na próżno nie tracić siły, tak potrzebnej we właściwej chwili*".

Ale i w jednej i w drugiej ojczyźnie, i w Polsce i na polu sztuki — Szopen widnieje jak samotne drzewo na puszczy. Aczkolwiek do głębi wypowiada się w swej wielkiej i szlachetnej sztuce, nie jest ani jako człowiek, ani jako kompozytor dostatecznie rozumiany przez współczesnych i wciąż traktowany jako „fortepianista" musi się zadowalniać własną oceną swojej wartości i swojego w narodzie znaczenia, zanim znajdą się inni, którzy na właściwym miejscu tę wielką postać artysty i człowieka umieszczą. On sam jedynie doceniał na razie jak wielkie znaczenie posiada jego „rozumienie muzyki czy sztuki narodowej."

Pięknu tej pozycji życiowej w wierszu na śmierć Szopena napisanym złożył hołd poeta Włodzimierz Wolski:

„Bo nie wszystkim jest dane
Umieć sobie wynucić,

I marzenia rozwiane
Wstęgą chwały obrzucić.

I nie wszystkim też dane
Pojąć chwały tej blaski
I najdroższe klejnoty
Z tej kosztownej przepaski
Spoić w jeden strój złoty.

Bo geniusz choć z wszystkimi —
Sam przez życie przechodzi;
Tylu *wiedzie* na ziemi
Ale sam *chodzi.*

Sam tylko jeden wśród ludzi wielu
Których tak różna robota,
Łączy ją, wznosi do swego celu —
Sam tylko jeden — sierota —

Jeżeli chodzi o określenie znaczenia Szopena dla naszego społeczeństwa, to wynika ono jasno ze wszystkiego cośmy poprzednio powiedzieli. Szopen uzbrojony artystycznie wszedł do Panteonu sztuki europejskiej nie tracąc w najmniejszej mierze kontaktu z ziemią macierzystą. Przeciwnie, z ziemią tą związany był niewidzialnymi ale mocnymi nićmi i wszystko co poczynał, co robił, co tworzył, było owocem tego związku i rosło materią ziemi rodzinnej przeniknięte.

Jego najdroższy klejnot, ta wielka sztuka, z którą po ziemi polskiej „sam chodził", jest jakby elementem spajającym nasze rozproszone wysiłki, zmierzające na drodze ku wielkości. To wznoszenie roboty wielu ludzi do wspólnego wielkiego wysiłku wzwyż jest najżywszą cechą tego geniusza. Jego szacunek dla sztuki i jego wierność jej ideałom wysuwa go na pierwsze miejsce w szeregach walczących o Polskę artystów. Doskonałość zaś swą osiągnął pan Fryderyk przez głębokie poczucie od-

powiedzialności i właściwe zrozumienie powołania artysty w dziejach Rzeczypospolitej.

Nigdy bowiem Szopen nie poniży się, aby dla kawałka chleba czy dla poklasku „wygrywać najbezgustowniejsze awantury", nigdy jednego kroku, instynktownie prawie, nie zrobi po linii najmniejszego oporu. Wierzy w przyszłość nie tylko swojego narodu, ale i swojej sztuki, zdając sobie doskonale sprawę, że nie może ona być zrozumiana właściwie przez współczesnych.

Już w Warszawie wie, jak to mówi w cytowanym przez nas liście, iż publiczność nie dorosła do odczucia wartości jego pierwszego „Koncertu" i że szeroki ogół klaszcze w ręce tylko dlatego, że się tak powszechnie czyni. Jakże mógł liczyć na zrozumienie następnych, późniejszych dzieł, na których się nawet wielcy wielbiciele jego talentu jak Robert Schumann nie poznali! Ostatecznie Szopen dał się poznać i zrozumieć dopiero przez pryzmat dzieł jego następców. Trzeba znać całą ewolucję muzyczną XIX i XX wieku, ażeby należycie ocenić wielkość dzieła Szopena i jego rewelacyjną i rewolucyjną siłę.

Wszak to przykładem Szopena zachęceni kompozytorzy poszczególnych narodowości zwrócili się do skarbów narodowej muzyki i z niej biorąc nowe siły, zaczerpnęli dla sztuki swojej świeżego powietrza. Szkoły,

rosyjska, czeska, hiszpańska — jakże wiele zawdzięczają Szopenowi i wpływu Szopena bynajmniej nie ukrywają. Zresztą nie da się on ukryć, tak jest wyraźny: zarówno bezpośredni, czysto muzyczny, jak też i ideowy przykład sięgania do wzorów i skarbów muzyki narodowej.

Oto jak jeden z muzyków współczesnych, Karol Szymanowski, pisze o znaczeniu i tajemniczej sile muzyki Szopena:

...„Fryderyk Szopen stał w milczeniu i pozornym spokoju. Być może w sercach jego rodaków lągł się żal, niemy wyrzut, dlaczego on w owej okrutnej godzinie nic — jeno zamknięty w szklanym kręgu samotności cyzelował żmudnie a cierpliwie swoje misterne dzieło.

„Czemu nie stworzysz, panie Fryderyku, narodowej opery?"

Uśmiechał się pan Fryderyk i z cichym uporem nie tworzył opery narodowej.

Natomiast zaś chciwie gromadził swe nikłe i pozornie drobne cacka, cyzelował je rylcem jasnej mądrości, hartował w ogniu płonącego serca i nikt wówczas nie wiedział, jak głęboko musi on sięgać w łono ziemi — swojej ziemi — po bezcenny dla nich kruszec.

Nie zrozumiano wówczas w całej pełni, czym był, a zwłaszcza czym będzie w Polsce Fryderyk Szopen, o czym swą muzyką mówił.

W istotnej swej głębi, głuchy był na zgiełk otaczających go walk, na straszliwy szum przelatujących huraganem zdarzeń. W ciszy i w skupieniu wsłuchiwał się w tajemniczy szept idący ku ziemi z otchłannej duszy narodu, troskliwie ujmował w dłonie nieumęczenie bijące jego serce, spozierał w niechybne jego oblicze, wzniesione ponad zmienne koleje dziejowego losu i w dźwiękach, a nie w słowach tworzył nieśmiertelny swój mit.

I jakby urągając otaczającej go nocy, czy też przeczuwając jutrzejsze świty i blaski, mówił on o sprawach wieczyście trwałych, niezależnych od chwilowych upadków czy tryumfów..."

Umiejętność mówienia „o sprawach wieczyście trwałych" i kierowania w stronę tych spraw naszych zainteresowań jest najtrwalszą zasługą Szopena. Jako prawdziwy polski artysta stanął on u kolebki naszej sztuki narodowej.

„W Polsce od grobu Fryderyka Szopena — powiada Norwid — rozwinie się sztuka, jako powoju wieniec, przez pojęcia nieco sumienniejsze o *formie* życia, to jest o kierunku piękna, i o *treści* życia, to jest o kierunku dobra i prawdy. Wtedy artyzm się złoży w całość narodowej sztuki.

„Podnoszenie ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej Ludzkość całą — podnoszenie ludowego do Ludzkości, nie przez stosowania zewnętrz-

ne i przez koncesje formalne, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości... oto jest, co wysłuchać się daje z Muzy Fryderyka, jako zaśpiew na sztukę narodową..."

To znaczy, że w sztuce Fryderyka Szopena jest ta sama siła fatalna — może większa jeszcze, niż w innych naszych wieszczach romantycznych — która dla każdego pokolenia znacząc co innego, a zawsze bardzo wiele, popycha niejako życie samo polskie w kierunku „sumienniejszego" rozumienia form tego życia. Stanowi ona skarb ogólny i arkę przymierza, i przez samo swoje trwanie nadaje ciągłość naszej kulturze, łączy nas wszystkich wspólnie w kulcie wielkiego muzyka, stanowi nieoceniony czynnik jednoczący i krzepiący.

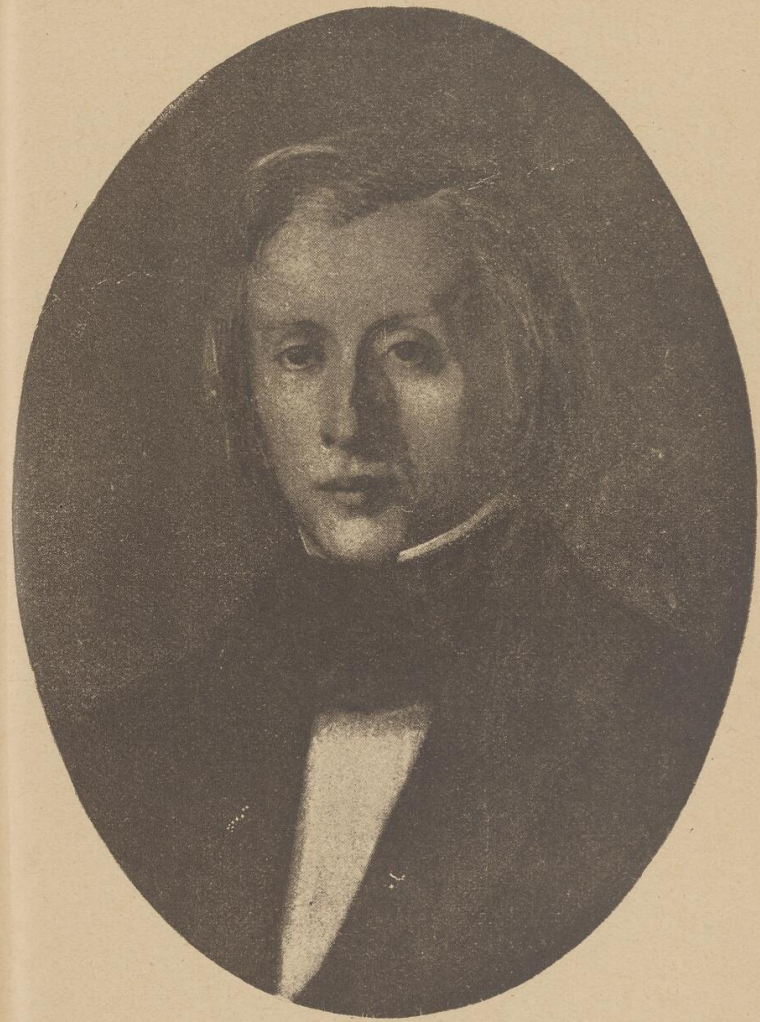
Najszacowniejszy ten skarb narodowej naszej sztuki, powstały z połączenia genialnych pierwiastków indywidualnych i wielowiekowej kulturalnej pracy zbiorowości polskiej, muzyka Szopena, jest jak gdyby kwintesencją istoty naszego narodu.

Zaklął on w tej muzyce owe — jak dalej ciągnie Norwid — „myśli które jeszcze nie nadleciały na widnokrąg, tylko z oddali szumią skrzydłami". Bo podług słów Norwida taki jest przywilej muzyków, którzy w sztuce swej zakląć potrafią nie narodzone jeszcze myśli, nie wypowiedziane jeszcze idee.

„Bowiem — cytuję jeszcze w dalszym ciągu Norwida — narodowy artysta organizuje wyobraźnię,

jak na przykład, polityk narodowy organizuje siły stanu..."

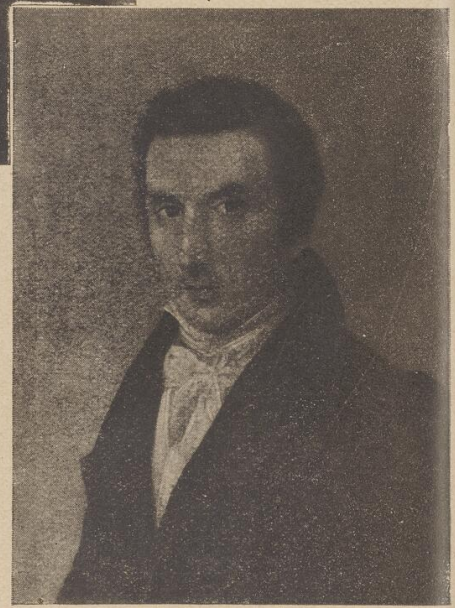
W tym znaczeniu organizowania narodu, ustalania jego siły i ciągłości, zespalania go przez uświadomienie mu najgłębszej narodowej jedności, samej jego duszy i istoty, — i łączenie tego ducha narodu z jednotą kultury europejskiej, polega olbrzymia, zasadnicza wartość muzyki Szopena dla naszego pokolenia — jak i dla wszystkich polskich pokoleń, jakie jeszcze nadejdą, aby na niwie ojczyzny i na niwie sztuki dla dobra *Polski* pracować.



PORTRET SZOPENA



JUSTYNA
Z KRZYŻANOWSKICH
SZOPENOWA
Portret Miroszewskiego

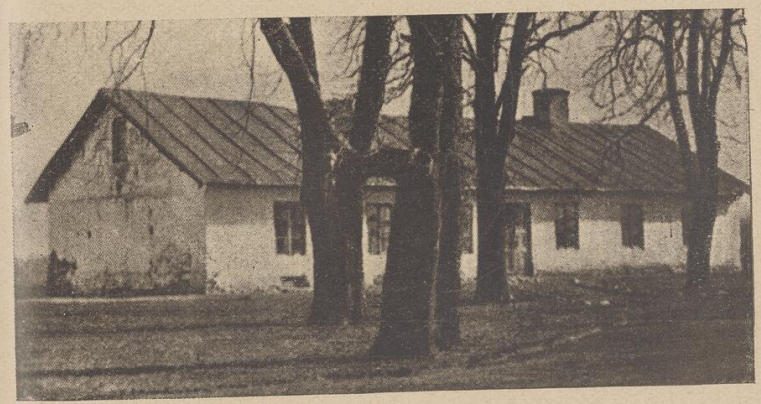


MIKOŁAJ SZOPEN
Portret Miroszewskiego



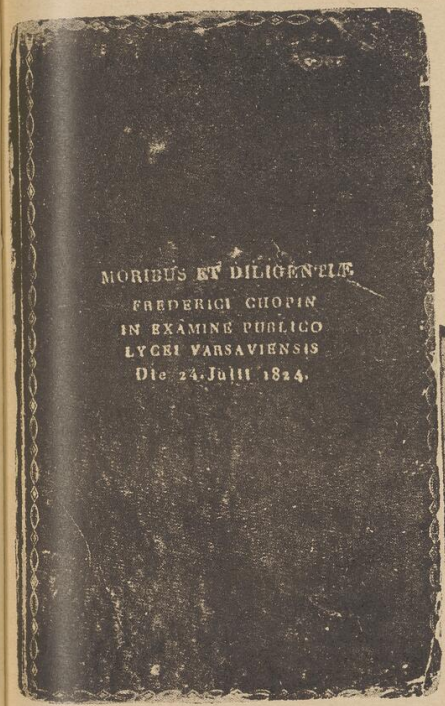
SZOPEN GRAJĄCY W OTOCZENIU WYCHOWANKÓW PENSJONATU RODZICÓW.
Sztych z obrazu A. C. Gowa

DOM W ŻELAZOWEJ WOLI, W KTÓRYM URODZIŁ SIĘ FRYDERYK SZOPEN

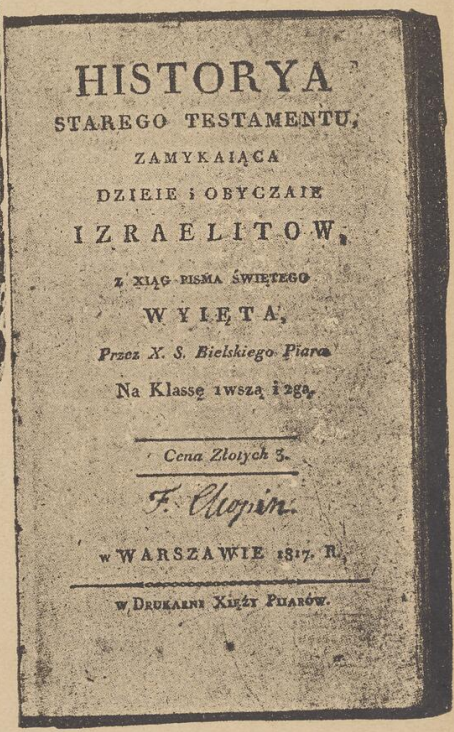




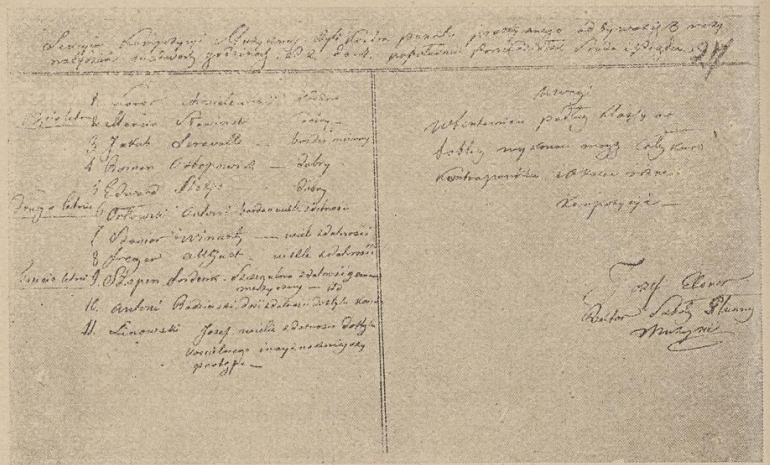
SZOPEN W WIEKU MŁODZIEŃCZYM
Portret Miroszewskiego



NAGRODA PILNOŚCI, KTÓRĄ OTRZYMAŁ SZOPEN, UCZEŃ WARSZAWSKIEGO LICEUM W DNIU 24 LIPCA 1824 R.

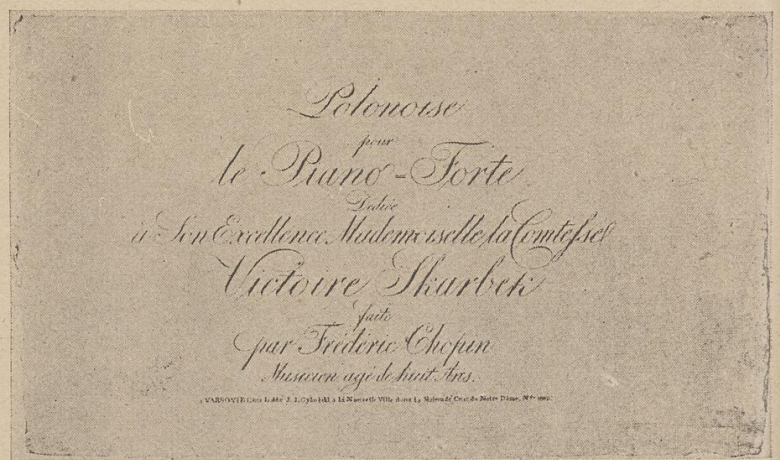


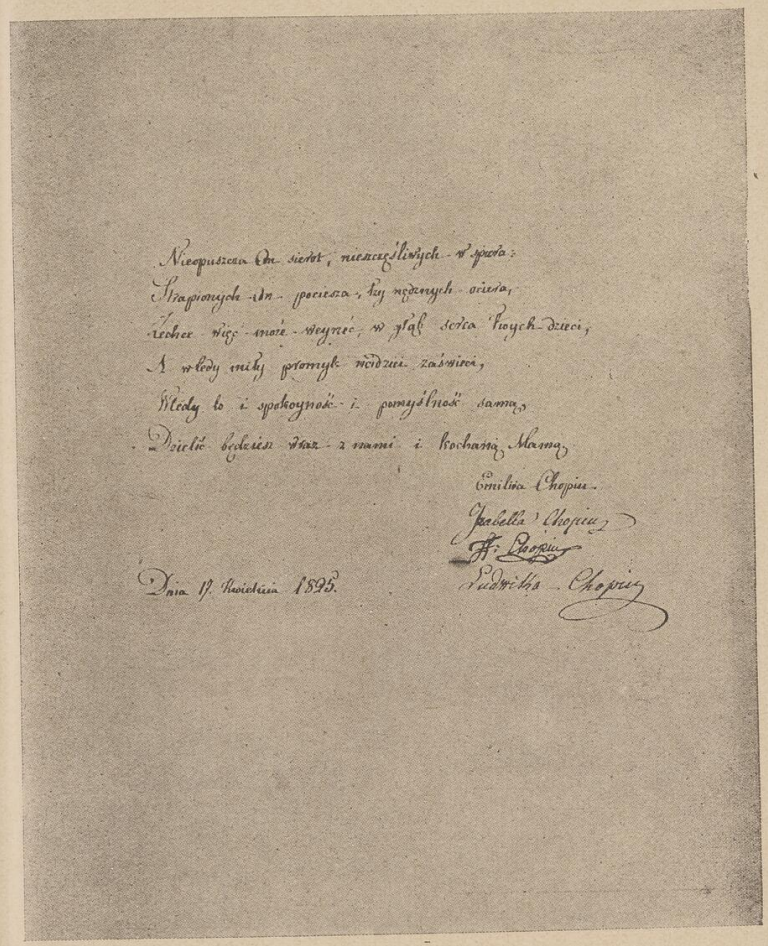
EGZEMPLARZ BIBLII, BĘDĄCY WŁASNOŚCIĄ MŁODEGO SZOPENA



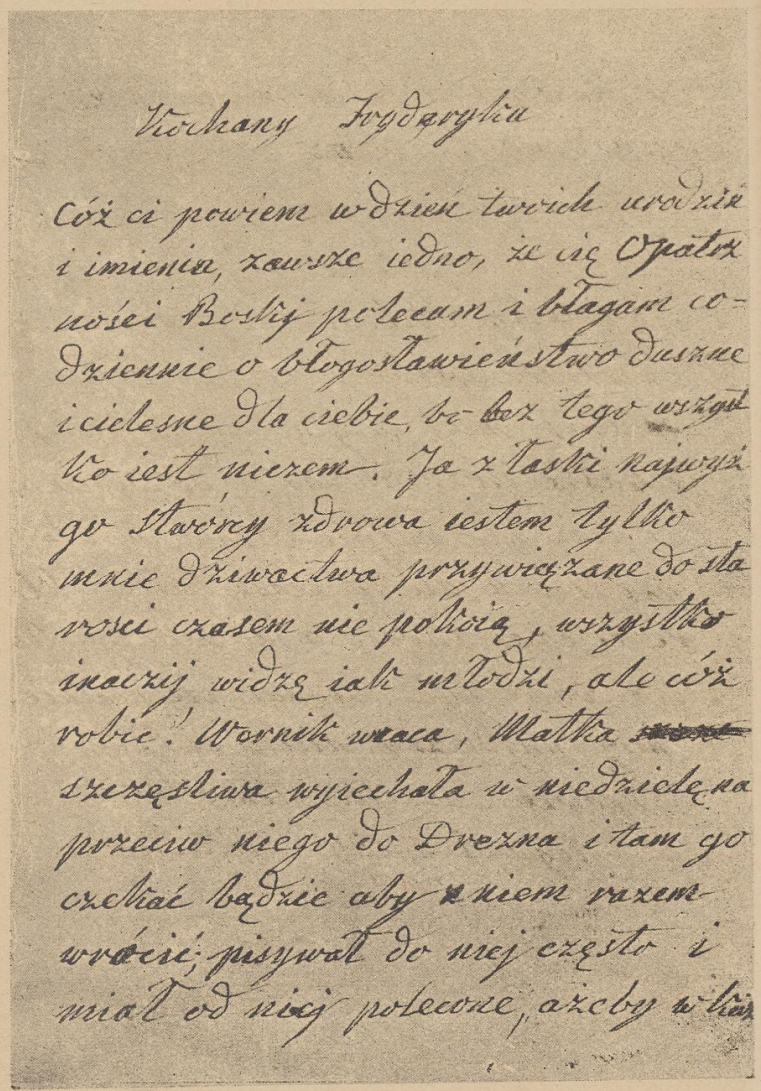
OPINIA JÓZEFA ELSNERA, REKTORA SZKOŁY MUZYKI: „SZOPEN FRIDERIK — SZCZEGÓLNA ZDOLNOŚĆ I GENIUSZ MUZYCZNY"

PODOBIZNA OKŁADKI PIERWSZEGO DRUKU POLONEZA OŚMIOLETNIEGO SZOPENA





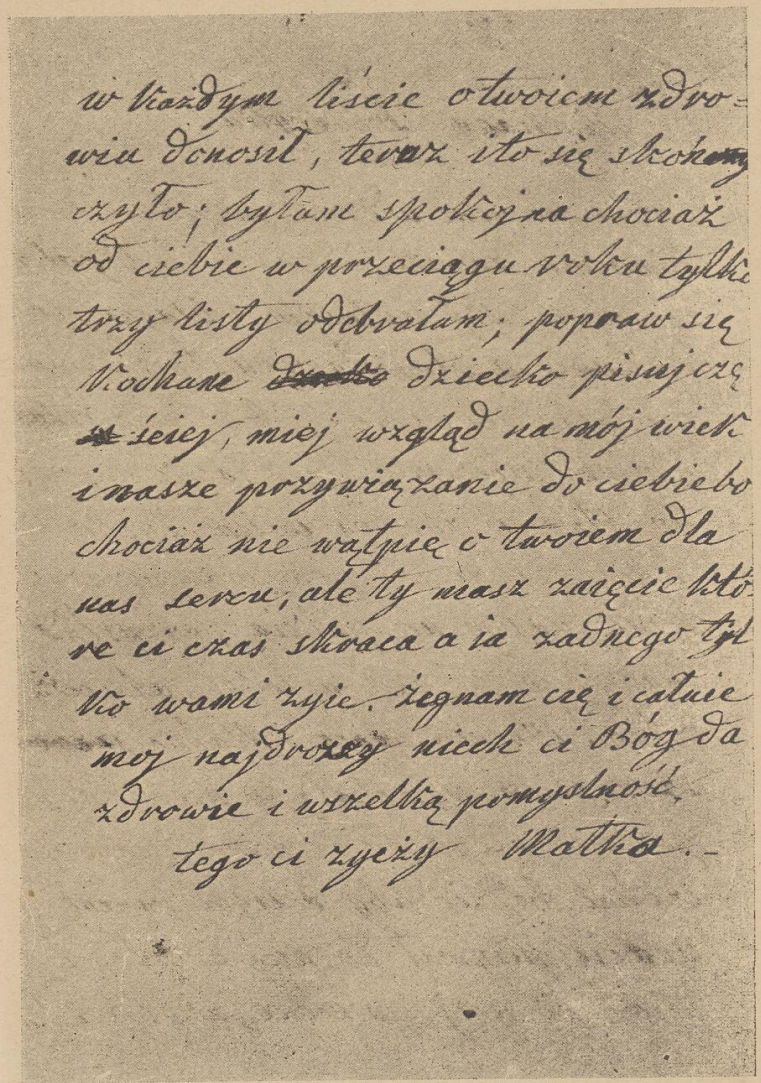
POWINSZOWANIE, OFIAROWANE OJCU SZOPENA PRZEZ DZIECI WŚRÓD PODPISÓW WIDAĆ AUTOGRAF FRYDERYKA



Kochany Fryderyku

Cóż ci powiem w dzień twoich urodzin i imienin, zawsze iedno, że cię Opatrzności Bożej polecam i błagam codziennie o błogosławieństwo duszne i cielesne dla ciebie, bo bez tego wszystko iest niczem. Ja z łaski najwyższego Stwórcy zdrowa iestem tylko mnie dziwactwa przywiązane do starości czasem nie podobą, wszystko inaczej widzę iak młodzi, ale cóż robić! Wornik wraca, Matka ~~[illegible]~~ szczęśliwa wyiechała w niedzielę na przeciw niego do Drezna i tam go czekać będzie aby z nim razem wrócić; pisywał do niej często i miał od niej polecone, ażeby w każ-

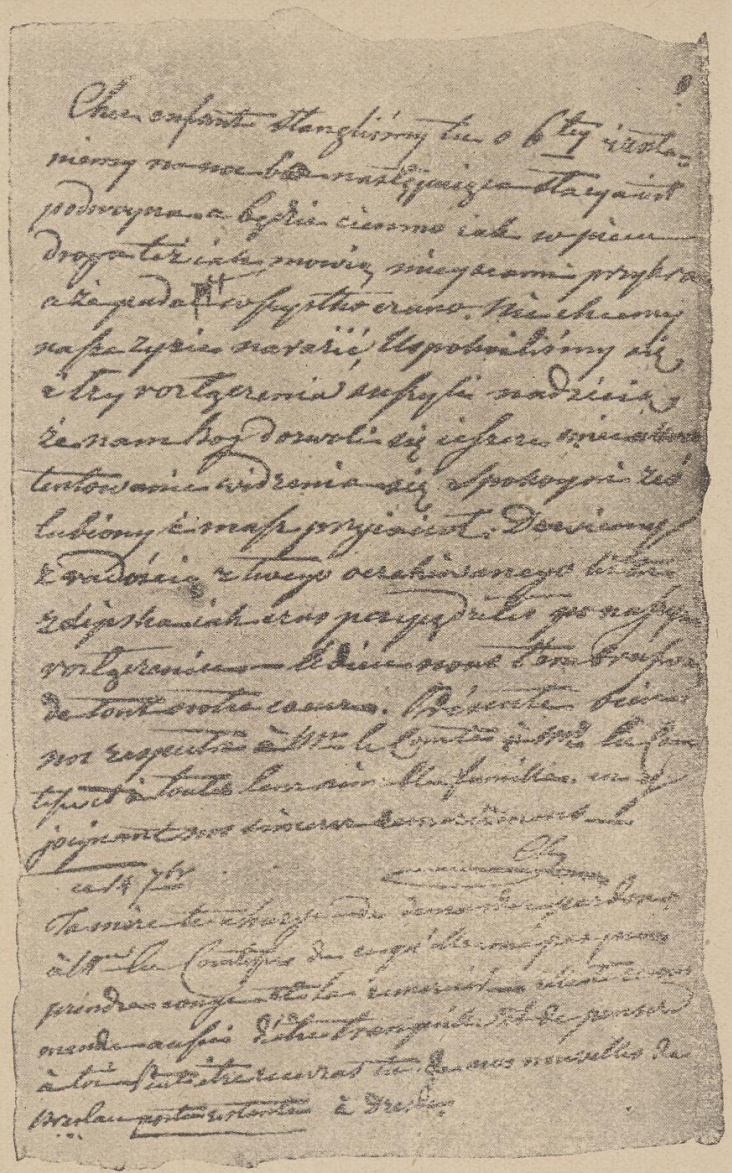
PIERWSZA STRONA LISTU MATKI DO SZOPENA



w każdym liście o twoim zdrowiu donosił, teraz ito się skończyło; bytam spokojna chociaż od ciebie w przeciągu roku tylko trzy listy odbrałam; poprawsię Kochane ~~[illegible]~~ dziecko pisuj częściej, miej względ na mój wiek i nasze przywiązanie do ciebie bo chociaż nie wątpię o twoiem dla nas sercu, ale ty masz zaięcie które ci czas skraca a ia żadnego tylko wami życie. żegnam cię i całuie mój najdroższy niech ci Bóg da zdrowie i wszelką pomyślność.

tego ci życzy Matka.-

DRUGA STRONA LISTU MATKI DO SZOPENA

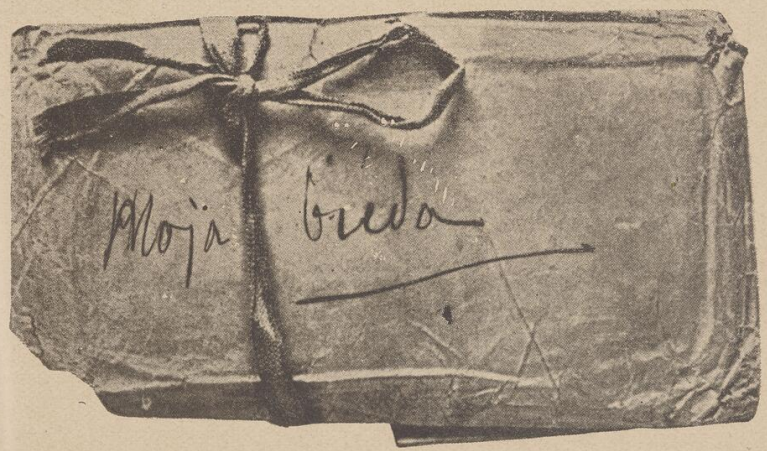


FRAGMENT LISTU OJCA SZOPENA DO SYNA



PORTRET SZOPENA W MŁODYM WIEKU

LISTY SZOPENA DO MARII WODZIŃSKIEJ



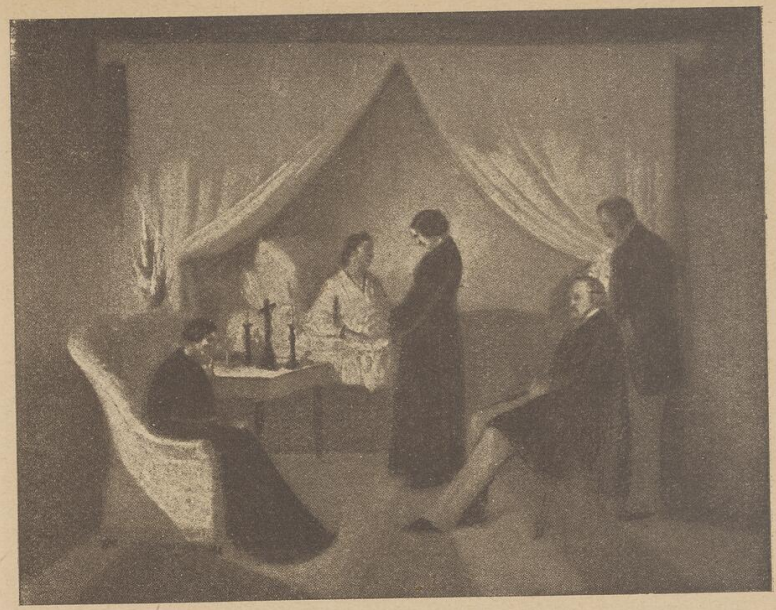


SZOPEN
Rysunek George Sand

KARYKATURY, RYSUNKI OŁÓWKOWE SZOPENA







OSTATNIE CHWILE SZOPENA
Obraz Kwiatkowskiego

MASKA POŚMIERTNA SZOPENA
Akwarela Kwiatkowskiego





PORTRET SZOPENA PĘDZLA ARY SHEFFERA I RZEŹBA DŁUTA TATARKIEWICZA



GABLOTKA Z PUBLIKACJAMI O SZOPENIE W MUZEUM NARODOWYM W WARSZAWIE

FORTEPIAN SZOPENA





POMNIK SZOPENA W WARSZAWIE DŁUTA SZYMANOWSKIEGO

WYKAZ WAŻNIEJSZYCH DZIEŁ SZOPENA

Opus 1 (dzieło pierwsze)

Rondo c-moll.

Utwór o charakterze wirtuozowskim, typowy dla swojej epoki, gdzieniegdzie zdradzający już niezwykły talent niespełna szesnastoletniego autora.

Opus 2

Wariacje na temat z Don-Juana (z orkiestrą)

Utwór jak i poprzedni o charakterze popisowym, zdradzający jednak już nie byle jakie opanowanie techniki fortepianowej i kompozycyjnej. Robert Schumann na podstawie tego tylko młodocianego utworu okrzyknął Szopena genialnym.

Op. 7, 8, 17, 24, 30, 33, 41, 50, 56, 59, 63 itd.

Mazurki.

Znaczenie mazurków wśród kompozycyj Szopena zostało omówione w tekście książki.

Op. 9 itd.

Nokturny.

Te pełne tęsknoty utwory są najpoetyczniejszymi przejawami muzyki szopenowskiej. Pełne są kobiecości i zapewne one są główną przyczyną przypisywanej od czasu do czasu Szopenowi zniewieściałości.

Op. 10 i 25

Dwadzieścia cztery Etiudy.

W przeciwieństwie do nokturnów, etiudy są pełne siły i potęgi, przepełnione romantycznym natchnieniem. Omówione w tekście.

Op. 11 i 21

Pierwszy Koncert e-moll.
Drugi Koncert f-moll.

Kolejność powstania koncertów jest odwrotna, pierwej był napisany koncert f-moll, ze słynną częścią środkową, którą sam Szopen nazywa portretem panny Konstancji Gładkowskiej. Oba koncerty są produktem jeszcze warszawskiej twórczości Szopena i uważane są za pełne werwy i wdzięku utwory młodzieńcze. W Polsce są wyżej cenione niż za granicą i bardzo popularne.

Op. 13

Wielka Fantazja na tematy polskie (z orkiestrą).

Op. 14

Krakowiak. Wielkie rondo na fortepian z orkiestrą.

Oba powyższe utwory omawia Szopen w liście przytoczonym w niniejszej pracy. Pierwszy to właśnie owo „Potpury" jak się wyraża Szopen, drugie to tak zwane „Rondo z Krakowiaka", którym się zachwycał Słowacki. Są to popisowe fantazje na tematy polskie, przy czym fantazja op. 13 jest jedynym tego rodzaju utworem Szopena, gdzie przytacza on popularne piosenki *in crudo*. Krakowiak oparty jest tylko o rytm tego tańca i jest kompozycją całkowicie oryginalną.

Op. 20, 31, 39 i 54

Cztery Scherza.

Znaczenie tych kompozycyj omówiono w tekście.

Op. 22, 26, 40, 44, 53 i 61 (itd.)

Polonezy.

Znaczenie tych wspaniałych poematów o ojczyźnie omówiono w tekście.

Op. 23, 38, 47 i 52

Cztery Ballady.

Te fantastyczne i pełne porywającej inwencji poematy zaliczane są do najdojrzalszych i do najdoskona-

lej zbudowanych dzieł Szopena. Bardzo pianistyczne, grywane są często na estradach.

Op. 24

Preludia.

Omówione w tekście.

Op. 29, 36, 51

Impromptus.

Ładne, żywe, pomysłowe utwory. Forma i nazwa prawdopodobnie przejęta od Schuberta. Bardzo wartościowe Impromptu Drugie (fis-dur).

Op. 18, 34, 42, 64 itd.

Walce.

Eleganckie utwory, prawie salonowe, nie głębokie, czasami pełne smutku. Piękny walc cis-moll, najgłębszy ze wszystkich; zabawny walc as-dur dedykowany pani Delfinie Potockiej, ma być obrazem jej pieska, kręcącego się naokoło swego ogonka; również piękny walc as-dur, wydany po śmierci Szopena, ofiarowany w Dreźnie pannie Marii Wodzińskiej.

Op. 35

Sonata b-moll.

Najpotężniejsze dzieło Szopena (obok Sonaty h-moll). Omówiona w tekście.

Op. 43

Tarantella.

Taniec włoski inspirowany nie tyle przez podróż na południe, ile przez muzykę włoską słyszaną w Paryżu. Efektowna sztuka estradowa posiada ciekawe muzycznie epizody.

Op. 46

Allegro de Concert.

Powstał ten utwór ze szkicu do trzeciego Koncertu Szopena. Pomimo, iż sam autor wysoko cenił to dzieło, nie posiada ono dla nas wielkiej wartości.

Op. 49

Fantazja f-moll.

Wspaniałe to dzieło o na pół sonatowym, na pół balladowym tonie należy do najlepszych dzieł mistrza. Głębokie, poważne, silne, posiada wiele bardzo śmiałych miejsc. Pokrewne jest muzyce Wagnera.

Op. 57

Kołysanka.

Przepiękny ten utwór jest także mistrzowski pod względem formy, gdzie arabeski wariacyj tego samego, łagodnego tematu opierają się o niezmienną figurę w basie (basso ostinato). Połączenie subtelnej poezji ze

skończonością muzycznego pomysłu i opracowania. Jedno z arcydzieł literatury fortepianowej, świadczy o niebywałym osiągnięciu przez Szopena równowagi pomiędzy romantyzmem a skończonością klasyczną.

Op. 58

Sonata h-moll.

Wraz ze swoją siostrą sonatą b-moll, o której mówiliśmy poprzednio i w tekście, jest to najwyższe osiągnięcie Szopena. Tak samo jak powyższa Kołysanka świadczy ona o wielkim zrównoważeniu Szopena i o opanowaniu wszystkich arkanów komponowania, które mu służą do wyrażenia niezwykle podniosłej, patetycznej myśli.

Op. 60

Barcarolla.

Jesteśmy teraz wśród najpiękniejszych dzieł Szopena, najpiękniejszych dzieł muzyki w ogóle. Po sonacie h-moll Barcarolla, utwór bardzo poważny rozmiarami — o wielkiej jednak przejrzystości i poetyckości natchnienia. Jedno z najświetniejszych dzieł Szopena.

Op. 65

Sonata na fortepian i wiolonczelę.

Jeden z najsłabszych utworów Szopena. Ostatnie dzieło wydane za życia autora.

Op. 74

Siedemnaście polskich pieśni.

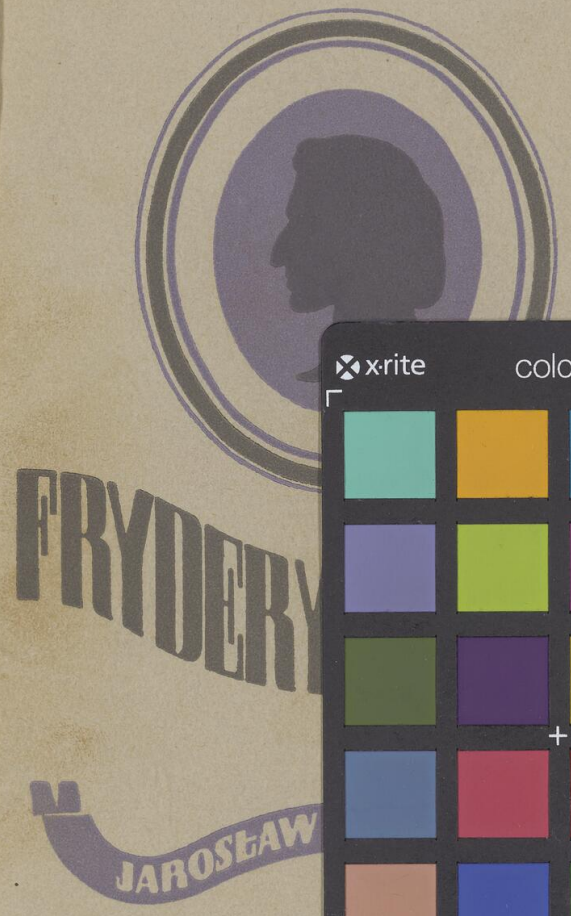
Pieśń nie była specjalnością Szopena. Piosenki jego komponowane przeważnie jeszcze w Warszawie nie mają żadnych wielkich pretensyj i są niezwykle miłe przez swoją prostotę i świeżość. Zwykle są zbyt mało cenione. Nie były wydane za życia Szopena, który widać uważał je za niegodne siebie. Posiadają wybitne cechy narodowe i związane są silnie atmosferą uczuciową z Warszawą i Polską sprzed doby powstania listopadowego.





Narodowy
Instytut
Fryderyka
Chopina

822
B/1


FRYDERY
JAROSŁAW